



ODGŁOSY

PAWEŁ FINDER – Ziemowit Miedziński ▶ JAKOŚĆ TO BĘDZIE – Krzysztof Pogorzalec ▶ PO PLENUM KL PZPR NA TEMAT KULTURY – Jerzy Wawrzak ▶ PROKURATOR NIE TYLKO OSKARZA – Witold Łuczak ▶ KULISY PIŁKARSKICH EMOCJI – Jerzy Czech ▶ WIERSZE – Ewa Beata Karpinowicz ▶ NADCHODZIŁ CZAS POKOJU – Wojciech Slezanowski ▶ NAD OKĄ I W LUBLINIE – Jan Huszcza ▶ BARDZO TRUDNO ZOSTAĆ BOGIEM – Lucjusz Włodkowski ▶ GDZIE CI MĘŻCZYŹNI – Andrzej Józwiak ▶ TYDZIEŃ STWORZENIA – Wsiewołod Rewicz ▶ RAFY I BIWAKI – Elżbieta Wróblewska ▶ RECENZJE ▶ REPORTAŻE ▶ FELIETONY ▶ Dyskusje ▶ POLEMIKI



IGOR SIKIRYCKI

POCZĄTEK

22-GO LIPCA NAD RANEM LUBLIN BYŁ JUŻ WOLNY. TYLKO NA CMENTARZU BRONIŁA SIĘ JESZCZE ROZPACZLIWIE GRUPA OKRAŻONYCH ESESMANÓW. W CENTRUM MIASTA OD STRONY ZRUJNOWANEGO KINA „CORSO” DOBIEGAŁY POJEDYŃCZE STRZAŁY I CORAZ RZADSZE SERIE Z AUTOMATÓW. ŚWIADCZĄCE O TYM, ŻE ODDZIAŁ WŁASOWCÓW, KTÓRY MIAŁ ZABEZPIECZYĆ ODWRÓT NIEMIECKICH WOJSK, BRONI SIĘ DO UPADŁEGO.

Dalszy ciąg na str. 5

WOJCIECH SLEZANKOWSKI

NADCHODZIŁ CZAS POKOJU

(Fragment pamiętnika)

Rano, było to chyba 16 stycznia 1945 r. we wsi jest cicho, natomiast na autostradzie widzimy samochody leżące w rowie. Prawdopodobnie samochody te miały kraksy i sami Niemcy wpychali je do rowów, by nie tarasowały szosy cofającym się kolumnom... Nikt z mieszkańców wsi nie podchodzi do tych porzuconych samochodów, gdyż Niemcy jeszcze nie wycofali się, a więc istnieje obawa przed represjami.

Dowiedziawszy się o zaminowaniu mostu w Kominie, namawiam kilku chłopaków, synów miejscowych gospodarzy, by iść i rozminować most, ale śmieją się ze mnie, że porygam się z motyką na słońce.

W pewnym momencie słyszymy wybuch: przeszła mostu zostały wysadzone w powietrze przez trzech żołnierzy, którzy nadjechali motocyklem z przyczepą. W tym samym czasie od strony Patok nadchodzi pluton Wehrmachtu, wchodzi do poszczególnych domów i przygotowują stanowiska obronne.

Widzę, że od strony Sochaczewa nadjeżdżają motocykle, samochód pancerny i czołg, ale jest to inny sprzęt niż mieli Niemcy. Po dojeździe na wysokość naszych zabudowań pojazdy te zatrzymują się i wieże armatnie czołgu i samochodu obracają się w kierunku naszych zabudowań. Chcę biec do autostrady i prosić Rosjan, by nie strzelali, bo we wsi nie ma niemieckich armat, ale mój gospodarz mówi, bym siedział na d... bo już za Bzurą widać bolszewików.

Wychodzę przed dom i widzę w odległości 2 km za rzeką duże kolumny pieszych żołnierzy. Odległość mi nie pozwala stwierdzić, co to za wojsko, jak wygląda, jakie ma uzbrojenie. W pew-

nej chwili słyszymy strzały z broni ręcznej i od czasu do czasu wystrzały armatnie z pojazdów stojących na szosie. Gospodarz każe nam wszystkim iść do stodoły i schować się w kregu studziennic ustawione na klepsisku, które specjalnie były na ten cel przygotowane.

Wchodzę do takiego kregu, ale ciękawość powoduje, że zaraz wychodzę z niego i idę zobaczyć, jak daleko są Rosjanie. Strzały armatnie ustały, słychać tylko sporadyczne strzały z broni ręcznej. Wreszcie Rosjanie przechodzą pod lodzie skutej rzeki Bzury i biegiem ruszają do wsi. Niemcy nie stawiają większego oporu i poddają się. Ja i kilka osób obserwujemy, jak Rosjanie rozbrajają Niemców i zbierają ich w kolumnę.

Jest więc wreszcie to wyzwolenie oczekiwane od tylu lat.

Jaka będzie ta nowa rzeczywistość? Przez wieś maszerują kolumny wojsk Armii Czerwonej. Na cmentarzu w Kominie zostają wykryci jacyś niemieccy żołnierze, kilku żołnierzy radzieckich przeskakuje przez mur cmentarza i likwidują broniących się Niemców. Wkraczające oddziały Armii Czerwonej miejscowa ludność wita z pewną rezerwą. Natomiast żołnierze co chwilę pytają nas „skolko do Berlina”. Nie mamy pojęcia i odpowiadamy, że jeszcze daleko. Gospodarz mówi, bym zakładał konie i jechał na okopy po cement, drewno i inne materiały budowlane, jakie tam zostały. Tego samego dnia obracam kilka razy zwożąc gospodarzowi różne materiały budowlane z okopów.

Dalszy ciąg na str. 6

CO ROBIĆ, ABY SZYBKO CZYTAĆ? (II)

MASZYNY POMAGAJĄ OKU

Wielu badaczy zajmujących się problemem zwiększenia efektywności czytania doszło do wniosku, że droga do tego celu prowadzi poprzez intensywne ćwiczenie oczu. Celem tych ćwiczeń ma być wyeliminowanie ruchów regresywnych, nauczenie obejmowania w jednym rzucie oka większych partii tekstu oraz nauczanie płynnego i regularnego wykonywania tych rzutów wzduż linii tekstu. W związku z tym opracowano wiele różnorodnych ćwiczeń na rozszerzenie pola widzenia, rozpoznawanie wyrazów itp.

Postrzeganie wzrokowe jest tylko jednym z elementów składowych złożonego procesu komunikacyjnego jakim jest czytanie. W procesie tym bardzo ważną sprawą jest przetwarzanie informacji otrzymanych z tekstu, tzn. odtwarzanie przez czytelnika tego wszystkiego co autor chciał mu przekazać. Przetwarzanie informacji to przede wszystkim odpowiednia interpretacja sygnałów (w tym wypadku wzrokowych). Doskonałe ilustruje to reprodukowany rysunek kobiety cytowany we wszystkich chyba podręcznikach psycho-

logii: ten sam bodziec — kombinacja białych i czarnych linii — odbierany jest przez jednych jako rysunek przedstawiający młodą kobietę a przez innych jako staruszkę.

Podobnie ma się rzecz z tekstem: pewną całość myślową, którą chciał nam przekazać autor tekstu odbieramy jako rozłożony w czasie i przestrzeni ciąg sygnałów, które trzeba tak zinterpretować, aby możliwie jak najdokładniej tę całość odbijały.

Najczęściej i najpowszechniej używanym przyrządem do ćwiczenia wzroku jest tzw. tachistoskop. Jest to przyrząd pozwalający na ekspozowanie bodźców wizualnych, prze-ważnie na ekranie, przez dowolnie krótki okres czasu. Zakłada się, że stopniowe zwiększanie ilości bodźców (wyrazów) w tej samej jednostce czasu jak też zmniejszanie czasu samej ekspozycji wpłynę na zwiększenie szybkości czytania.

Jest jednak rzeczą dowiedzioną, że bez specjalnego treningu ludzie o normalnym wzroku potrafia osiągać zadziwiające rezultaty: przy czasie ekspozycji równym 1/100 sekundy są w stanie odczytać kilkuwyrazowe zwroty. Gdybyśmy nawet przyjęli, że ktoś potrafi odczytać w tym czasie tylko jeden wyraz, to możemy obli-

czyć, że jego szybkość czytania powinna równać się 6 000 wyrazom na minutę (1×100×60=6 000). Faktem jest jednak, że ci sami ludzie nie



Podwójne spostrzeganie: młoda kobieta czy staruszka?

BOGDAN KRAKOWIAN

przenoszą tych fantastycznych osiągnięć na czytanie w warunkach normalnych. Nawiasem mówiąc, jest to jeszcze jeden argument przemawiający za tym, że samo ćwiczenie wzroku nie wystarcza.

Nie wszyscy zapewne pamiętają głośną swego czasu sprawę używania tzw. podprogowych bodźców wizualnych dla reklamy pewnych towarów. W kinach na Zachodzie wyświetlano teksty zachwalające pewne produkty przy czym czas ekspozycji tekstów na ekranie był tak krótki, że oko nie było w stanie zarejestrować ich treści w sposób uświadomiony (stał bodziec podprogowy, tzn. taki, który nie wywołuje obserwowalnej reakcji gdyż jest zbyt słaby). Opierając się jednak na wynikach zwiększonej sprzedaży reklamowanych artykułów stwierdzono, że takie krótkie ekspozycje tekstu wywierają wpływ na podświadomość.

Dalszy ciąg na str. 6

Cale jego krótkie, niespełna czterdziestoletnie życie, było symboliczne i znamienne dla reprezentantów inteligencji kojarzących świadomie swój los z dziejami i walką rodzimego proletariatu.

PAWEŁ FINDER urodził się w Bielsku 19 września 1904 roku w zamieszkałej rodzinie mieszczańskiej. Jednakże w latach gimnazjalnych szybko przekroczył wąskie ramy światopoglądowe swojej warstwy, zafascynowany ideologią marksistowską. Pierwsze praktyczne lekcje prawdziwej szkoły przyniosły mu burzliwe i przełomowe lata 1918–1920. skąd czerpał wiedzę o proletariacie, burżuazji i walce klasowej.

Osiemnastoletni Paweł Finder wstąpił do szeregów Komunistycznej Partii Austrii i rozwinął aktywność w obrębie terenowego koła wiedeńskiego oraz krzewił myśl marksistowską wśród młodzieży zrzeszonej w Wolnym Związku Studenckim.

W latach 1924–1928 propagował idee lewicowe we Francji, stając się członkiem tamtejszej partii komunistycznej. Młody, nieprzebiegły, uzdolniony inżynier — chemik, poświęca karierę naukową, aby włączyć się żywiej w walkę o realizację polityczną. Wjeżdża do Milhuzy, małego ośrodka akademickiego w Alzacji i oddaje się bez reszty pracy organizacyjnej i propagandowej. Szybko dochodzi do funkcji członka komitetu miejskiego a następnie obwodowego Komunistycznej Partii Francji.

W roku 1927 można go spotkać w Paryskim Komitecie Obwodowym Komunistycznej Partii Francji a u schyłku wspomnianej daty pracował jako funkcjonariusz tej partii w Wydziale Organizacyjnym Komitetu Centralnego. Fakt ten nie wymaga dodatkowego komentarza na temat zdolności i zasług młodego komunisty polskiego w oczach jego towarzyszy francuskich.

Okres ten miał niewątpliwie duże znaczenie dla dalszej drogi życiowej Towarzysza Pawła. W wydatny sposób pogłębił wówczas ostrość spojrzenia na walkę z kolonializmem oraz uczył się strategii i taktyki akcji masowych. W licznych polemikach z pravicowymi i lewackimi deformatorami doktryny marksistowskiej bronil lenińskich zasad organizacyjnych i programowych. Zdobył tamtędy lat potrafił umiejętnie przeprzeżać na kanwę działalności rozwijanej w kraju po wydaleniu z ziem francuskiej tego „uciążliwego cudzoziemca”.

Przez cały czas pobytu na obczyźnie zachował stały kontakt z komunistami polskimi. Stał też po powrocie „na ojczyznę łono” cieszył się zasłużonym mianem „zawodowego rewolucjonisty”, wkraczając od razu do awangardy aktywistów Komunistycznej Partii Polski.

Rok, w którym powrócił, był rokiem głębokiego kryzysu gospodarczego. Z tego względu KPP mobilizowała szeregi robotnicze pod sztanda-

rem rewolucyjnej walki klasowej, wzywając do czynnego oporu jako podstawy taktyki orientującej się na radykalne przeobrażenia ustrojowe.

W pisanym wówczas zyciorysie, który zachował się, Finder zaznaczył krótko:

„Pracowałem jako zastępca sekretarza Komitetu Okręgowego Partii w Łodzi i na Śląsku, później jako sekretarz Komitetu Miejskiego w Warszawie i Komitetu Centralnego w Zagłębiu Dąbrowskim, na Śląsku i w Łodzi”.

Te krótkie, lakoniczne słowa nasycały się wielkim i różnorodnym bogactwem treści. Za ich lapidarnymi sformułowaniami kryła się codzienność, intensywna praca zogniskowana wokół rozbudowy szeregów partyjnych i wewnętrznej konsolidacji. Był to trud rozwijany na jednym obszarze najczęściej kilkunastotygodniowy, aby uniknąć prześladowania a jednak tak owocny i trwały.

Mimo głębokiej konspiracji było niepodobniństwem uniknąć aresztowania. W roku 1934 zapoznaliśmy się z bliską z krętami celi więziennej. Te ostatnie opuścił dopiero po tragedii narodowej we wrześniu 1939 roku.

Warto przypomnieć, że los skazańca politycznego dzielił z innymi wybitnymi działaczami Komunistycznej Partii Polski: Bolesławem Bierutem, Marianem Buczkim, Alfredem Lampem, Marcelim Nowotką i innymi towarzyszami. W więzieniu pełnił rolę starosty i należał do kierownictwa komuny więziennej. Okres przymusowej izolacji nie usypiał w nim instynktu działacza partyjnego. Uczył się sam i przekazuje swoje doświadczenia innym. Więzienie traktował jako dalszy etap życia przygotowujący do kolejnej walki politycznej.

Szczególnie wzrusza fakt, że Paweł Finder skazany na dwa lata więzienia, uczył się języka hiszpańskiego, aby w razie potrzeby spieszyc do walki zbrojnej z faszystami w dalekiej Hiszpanii.

Imię Towarzysza Pawła wpisano się na trwałe do tradycji Polskiej Partii Robotniczej. Już od samego momentu narodzin tej organizacji był najbliższym współpracownikiem i sekretarzem, Marceliego Nowotki. Ze „Starym”, jak powszechnie nazywano przywódcę partii, łączyła go najściślejsza więź duchowa i głęboka przy-

jaźń. W czasie wspólnego pobytu w Moskwie opracowali plany obudowy partii komunistycznej a następnie przeniknęli przez linię frontu do walczącego kraju. Obaj zredagowali podstawowe dokumenty programowe PPR, zajmując się jednocześnie organizacją oddziałów zbrojnych polskich komunistów. Jednoczyła ich w najcięższych dniach wojny niezłomna wiara, że sukcesy faszystowskiego zoldactwa są przejściowe.

Po tragicznej śmierci Marceliego Nowotki, pod koniec 1942 roku, Polska Partia Robotnicza powierzyła obowiązki sekretarza Komitetu Centralnego jego najbliższemu współpracownikowi, Pawłowi Finderowi. Rok 1943 przyniósł nowe i złożone zadania, bowiem w pryzmacie stalinogradzkiej wiktoria przelały się zasadnicze losy wielkiej wojny. Z tego powodu partia pod przewodnictwem Findera jeszcze skuteczniej rozszerzy-

ła swoje wpływy w masach, postulując walkę zbrojną przy wsparciu Związku Radzieckiego. Jako sekretarz KC PPR sterował wielostronną działalnością organizacyjną. W centrum jego zainteresowań pozostawały nadal akcje bojowe, ale jednocześnie nie zanominal o kwestiach propagandowych, sprawach wzrostu organizacji w podstawowych ośrodkach robotniczych na wsi. Inicjował też rozmowy z przedstawi-

PAWEŁ FINDER



Fot. Archiwum

cielami lewicy Polskiej Partii Socjalistycznej, radykalnych odłamów ludowców i demokratycznych ugrupowań mieszczańskich, dążąc do stworzenia jednolitego frontu narodowego.

Towarzysz Paweł był nie tylko przywódcą, ale także wychowawcą partii. Zawsze wymagający dla siebie i względem innych manifestował prawdziwie humanistyczną wiarę w człowieka, wierzył w możliwość stałego kształcenia i rozwijania osobowości każdego człowieka. Cenil i rozważał sady innych towarzyszy, niekoniecznie zajmujących wysokie pozycje w hierarchii partyjnej.

„Jeśli roztaczał — pisał o nim jeden z jego towarzyszy — wokół siebie atmosferę żarliwości i wiary w zwycięstwo, atmosferę pewności i spokoju, jeśli umiał w dobyć z ludzi to, co w nich najlepsze, jeśli był nie tylko szanowany i kochany, to dlatego, że w służbę wielkiej idei socjalizmu oddał nie tylko wiedzę i doświadczenie, ale także wielkie walory cha. akteru”.

Tymczasem teatr wojenny na froncie wschodnim postawił sprawę nieuchronnego wyzwolenia kraju. Polska Partia Robotnicza wystąpiła na jesieni 1943 roku ze słynną deklaracją programową „O co walczymy”, formułując założenia ustrojowe przyszłej Polski. Jednym z głównych autorów tego dokumentu był Paweł Finder. Z perspektywy lat wspomniana deklaracja objawia dalekowzroczność i słusność historyczną programu, który znalazł szeroki refleks w późniejszych sformułowaniach KRN i PKWN.

Niestety, 14 listopada 1943 roku wpadli w ręce gestapowców Paweł Finder i Małgorzata Fornalska, jego najbliższa współpracownica. Po osmiu miesiącach katologii „zgineli” oboje śmiercią bohaterką. Jednakże trud i poświęcenie Towarzysza Pawła i jego towarzyszy nie poszły na marne, ponieważ z ich krwi męczeńskiej wyrosły zręby nowej, ludowej Polski.

ZIEMOWIT MIEDZIŃSKI

PROKURATOR NIE TYLKO OSKARŻA

Wśród niektórych kręgów społeczeństwa utrzymują się jeszcze przeszarżowane wyobrażenia o zadaniach Prokuratury i prokuratorów. Prokuraturę uważa się za organ powołany jedynie do ścigania przestępstw i oskarżania ich sprawców przed sądami.

Jest to bardzo jednostronne spojrzenie na Prokuraturę i na wykonywane przez ten organ zadania. W istocie bowiem ściganie przestępstw wcale nie jest jedynym zadaniem Prokuratury. Ważnym zadaniem pracy prokuratorskiej jest zapewnienie poszanowania praw obywateli oraz zapobieganie przestępstwom. Wszystkie te zadania prokuratorzy realizują bezkompromisowo i energicznie z potrzebny zaangażowaniem, żarliwością i konsekwencją we wszystkich trybach postępowania.

Cała działalność Prokuratury ma na względzie umacnianie praworządności ludowej, zapobieganie przestępstwom, ochronę praw obywateli. Dla realizacji tych celów prokuratorzy zostali wyposażeni w odpowiednie środki prawne, pozwalające na wszczęcie postępowań karnych, cywilnych, administracyjnych, profilaktycznych. Do tej specyfiki dostosowane są komórki funkcyjne w Prokuraturach. Problematyka zapewnienia poszanowania praw obywateli znajduje się w centrum zainteresowania komórek organizacyjnych i stanowisk pracy, pionu prokuratorskiej kontroli przestrzegania prawa i spraw cywilnych.

Do codziennych obowiązków tego pionu należą w szczególności:

* sprawowanie kontroli przestrzegania prawa przez terenowe organy administracji państwowej (Urzędy wojewódzkie, miejskie, powiatowe, gminne i inne), przedsiębiorstwa państwowe i państwowe jednostki organizacyjne;

* sprawowanie kontroli przestrzegania prawa przez organizacje zawodowe, samorządowe, spółdzielcze i społeczne w zakresie wykonywania przez nie funkcji administracji państwowej lub innych funkcji zleconych przez ustawy;

* wytaczanie powództw w sprawach cywilnych oraz udział w postępowaniu cywilnym, jeżeli tego wymaga ochrona praw obywateli;

* podejmowanie środków dla zapewnienia prawidłowego i jednolitego stosowania prawa w postępowaniu karnym administracyjnym i administracyjnym;

* współdziałanie z terenowymi organami władzy państwowej (radami narodowymi) w zakresie czuwania przez nie nad przestrzeganiem praworządności ludowej i nad zabezpieczeniem praw obywateli;

Taki zakres przedmiotowy kontroli, właściwości, określa ustawa z 14. IV. 1967 r. o Prokuraturze (Dz. U. Nr 13, poz. 35). Zakres ten jest bardzo szeroki. Z tych względów niezwykle ważne jest właściwe ukierunkowanie działań prokuratora, kontroli prokuratorskiej. Przyjęto zasadę, że prokurator wkacza z kontrolą na te obszary działania administracji, które są zagrożone naruszeniem prawa. W praktyce odkrycie takich obszarów nie jest łatwe.

Prokuratura posiada rozeznanie własne, wnioski organizacji społecznych, zawodowych. Dużej pomocy w

tych zakresie udzielała Prokuraturze sami obywatele. Chodzi tu w szczególności o bardzo cenne i skonkretyzowane wnioski i skargi. W 1973 roku do Prokuratury wpłynęło 260 listów, pochodzących od osób bezpośrednio pokrzywdzonych oraz od osób, które występowały w interesie pokrzywdzonych lub w interesie społecznym.

W skargach najczęściej zarzucono, w dużej części słusznych, kierowano pod adresem gospodarki lokalami, stosunków pracy i postępowania kolegów d/s wykroczeń. Zabiegano też o udział prokuratora w postępowaniu cywilnym. W wyniku podjętych kontroli i sprawdzeń, prokuratorzy sprzeciwili się w ubiegłym roku 124 decyzjom, orzeczeniom administracyjnym z powodu ich sprzeczności z prawem oraz sporządzili 141 wystąpienie do urzędów, przedsiębiorstw i instytucji, domagając się w nich usunięcia niedostatków i błędów oraz podjęcia kroków zaradczych, które by zapobiegaly dalszym wadliwym decyzjom, powodującym niezadowolone ludzi.

Obywatel korzystający z prawa do wniesienia skargi, wykonuje jednocześnie kontrolę społeczną działania organu administracji. Skargom, wnioskom i listom obywateli poświęca się w Prokuraturze maksimum uwagi. Są one załatwiane wnikliwie i szybko, bez zbędnego formalizmu. Przyjęto zasadę bezwzględnego załatwiania nabywanych spraw obywateli, najdłużej w przeciągu miesiąca. Informacji prawnej udziela się ustnie i bezpośrednio. Autor listu czy wniosku jest traktowany w Prokuraturze jako partner i sojusznik w walce o umocnienie praworządności socjalistycznej, ładu i porządku.

Po zbadaniu skarg i listów obywateli, prokuratorzy podjęli szereg działań, wymierzonych przeciwko wadliwym, bezprawnym decyzjom, nieprawidłowemu postępowaniu organów administracji.

W sprawach lokalowych, między innymi, sprzeciwu Prokuratury dotyczyły bezprawnego pozbawienia mieszkania osób, które ze względów życiowych czasowo przebywały w rodzinny albo w zakładzie leczniczym, kwestio-

nowały — nie oparte na prawie — przymusowe przekwaterowania z budynku rzekomo walącego się albo z lokalu zaludnionego powyżej norm. Przepisy prawa nie przewidują przekwaterowań przemysłowych z tego tytułu. Były również przypadki naruszenia prawa lokalowego przez niektórych obywateli.

Drastyczne sprawy — to pozorne zajmowanie lokali w domach przeznaczonych do rozbiórki w celu przyspieszenia przydziału mieszkania spółdzielczego oraz samowolne bądź bezprawne zajmowanie lokali. Prokuratura z dużą konsekwencją przeciwstawiała się takiemu bezpodstawnemu odnoszeniu korzyści kosztem społeczeństwa przez niektórych aspołecznych osobników.

W postępowaniu prowadzonym przez kolegia do spraw wykroczeń, głównie na wniosek obywateli, prokuratorzy zakładali sprzeciwu do orzeczeń karnych wydanych bez dostatecznych dowodów lub bez podstawy prawnej (np. kolegium wymierzyło karę dodatkową skierowaną kierowcy na egzamin sprawdzający mimo że kodeks wykroczeń nie przewiduje tego rodzaju kary itp).

Prokuratury, działając w trybie prokuratorskiej kontroli przestrzegania prawa, chronią obywateli przed różnego rodzaju błędami czy dowolnością ocen i rozstrzgnięć organów administracji, zapewniają lepszą jakość i poprawność decyzji administracyjnych.

W sprawach cywilnych działalność Prokuratury koncentrowała się na zapewnieniu ochrony dzieciom i rodzinie. Prokuratorzy wnieśli wiele spraw o ustalenie alimentów, egzekucję alimentów o ojcostwo. W trosce o należyte wychowanie dzieci i zapobieganie ich demoralizacji prokuratorzy wnieśli o ograniczenie lub pozbawienie władzy rodzicielskiej, przymusowe leczenie odwykowe rodziców-alkoholików, umieszczenie dzieci w zakładach wychowawczych, domach dziecka. Rodzice o aspołecznych postawach, uchylający się od wnoszenia opłat za dzieci przebywające w zakładach wychowawczych oraz domach dziecka,

będą pociągani do odpowiedzialności karnej za złośliwe uchylanie się od ustawowego obowiązku lożenia na utrzymanie własnych dzieci.

Już z tego, co wyżej przedstawiono, wynika, iż zakres pozakarnych zainteresowań Prokuratury jest bardzo szeroki.

Prokuratura pomaga obywatelom pokrzywdzonym lub bezradnym w korzystaniu z gwarancji prawnych. W sformalizowanych stosunkach między urzędami administracyjnymi a obywatelom, Prokuratura przejawia dużo troski o praworządność postępowania i rozstrzgnięć. Spełnia funkcję instruktorską, szkoleniową w stosunku do pracowników administracji. Przyczynia się do jednolitego interpretowania prawa i ujednolicenia orzecznictwa, bowiem prawo jest jednokowe dla wszystkich.

Kontrola prokuratorska wpływa na podnoszenie poziomu pracy samej administracji. Wnioski prokuratorów, oparte na ustaleniach z kontroli problemowych czy kontroli jednostkowych inicjowanych przez skarżących się obywateli, sygnalizują błędy, zaniedbania, uchybienia. Sygnaty te wykorzystują kierownicy terenowych organów administracji, komisje rad narodowych, dla działalności nadzorczej, kierowniczej, organizacyjnej, zmierzającej do doskonalenia działań, do zapewnienia obywatelowi w stosunkach z administracją poczuj równoprawnej strony.

Celne ukierunkowywanie kontroli prokuratorskiej, obiektywne, niezawisłe od organów administracji powinno być wspólną troską wszystkich zainteresowanych osób i ogniw, w tym również obywateli. Wnioski i listy obywateli w zakresie ukierunkowywania kontroli prokuratorskiej odgrywają, i będą odgrywać nadal, dużą rolę.

WITOLD LUCZAK

Wiceprokurator Prokuratury Wojewódzkiej dla m. Łodzi

COMMENTARZE HISTORII — czy NOWOCZESNA INFORMACJA?

Kiedys mówilo się, że archiwa to „cmentarze historii”, a archiwiści to grabarze przeszłości. Dziś mówimy, że archiwa to zbiory informacji.

Prognostycy przewidują, że papier zostanie wyparty z archiwów za jakieś 40-50 lat, więc już po 2000 roku! Zastąpi go mikrofilm, dyski pamięci ferrytowej. Biją one dziś na głowę stary papier, ze względu na gęstość zapisu i większą trwałość.

Po Rewolucji Francuskiej archiwa stały się dostępnym źródłem do badań historycznych. Następuje powolne „panowanie historyków nad archiwami”. Stają się oni monopolistami w korzystaniu z dokumentów i informacji zawartych w archiwach. Archiwiści — historycy obwarowali się też przepisami, ograniczającymi podawanie informacji dopiero po przejściu 50 czy 30 lat od zaistnienia zdarzenia, zanotowanego w aktach.

Archiwa, przez swą małą aktywność, znalazły się w piwnicach i na strychach z rupieciami, mało komu potrzebnymi w okresach pokoju. Archiwiści i archiwa wyizolowały się z bieżących nurtów społecznych, politycznych. Utało się nawet przekonanie, że do archiwów trafiały różne fajtlapy życiowe, inwalidzi. Twierdzono też, że jak w archiwum zapakują coś na półkach, regałach, w skrytkach, skarbczykach — to nikt nie znajdzie potrzebnej mu informacji nawet po 100 latach. I dziś jeszcze się mówi, że w niektórych archiwach nie ginie, co najwyżej — zapodzieje się...

Do archiwów trafiały jednak ludzie cierpliwi, historycy, którym te prace poszukiwawcze odpowiadały i oddawano im stare archiwa w pełne posiadanie. Mieli, cierpliwość w wyszukiwaniu informacji, nauczyli się przedzierać przez gąszcz materiałów źródłowych. Stworzyli metody i przepisy o korzystaniu z akt. Były one swego czasu miarodajne w stosunku do potrzeb — niestety obowiązują do dziś. Wiele już odbyło posiedzeń i narad, zastanawiając się nad usprawnieniem udostępnienia akt, ale informacja archiwalna o zasobach nieraz przebogata i cenny nie posuwała się naprzód — nie jest nowoczesna. Zasoby archiwów rosną nadal. Jest 150 archiwów państwowych w Pol-

sce, drugie tyle archiwów zakładowych — tzw. składnic akt. Tworzy to zbiory o około 200 kilometrów bieżących akt, o ile nie więcej.

Jak poruszać się w takim zasobie, jak szybko znaleźć informację na zadany przez komputer temat? W którym archiwum mieści się ta informacja, w jakiej sali, na jakim regale, półce, w jakim zestawie akt, na której stronie? Widać, że wcale niełatwe zadania stają przed nowoczesną archiwistyką i nową jej gałęzią — informacją archiwalną, która w przyszłości współpracować będzie ze zintegrowaną informatyką z bibliotek, ośrodków informacji naukowej i technicznej.

Co kilkanaście lat podwajają się archiwalne zbiory! Przybywa przeciętnie 10 km akt na rok w kraju, w roku obfitym — 20 km akt! A archiwa powinny je przejmować. Powinny więc powstawać nowe archiwa, wzrastać personel archiwalny, wzbogaćony technikami filmowymi, konserwatorami, ekonomistami, socjologami, prawnikami, informatykami. Nowoczesne archiwa — to nowoczesnie przygotowany personel. To na razie utopijne poglądy, gdyż sytuacja archiwów i w archiwach wygląda inaczej.

Archiwa wzrastają zbyt wolno w rzeczywistość bieżącą! Wydłuża się czas uporządkowania wszystkich posiadanych zbiorów. Akta muszą być zinwentaryzowane, opracowane naukowo i dopiero udostępnione użytkownikom. Zawarte w aktach informacje — dezaktualizują się, nieraz bezcenne wiadomości przepadają, a udostępnione zaraz — mogłyby ułatwić postęp i pomóc rozwijającej się gospodarce kraju. Poszerza się przecież z dnia na dzień krąg zainteresowań i problemów. Potrzeba nowych odkryć geologicznych, badań nad ko-

palinami, potrzeba ochrony naturalnego środowiska.

Rozszerzają i będą się rozszerzać tematy do poszukiwań w archiwach, które przejmując akta do swych zbiorów powinny je mieć szybko spisane i gotowe natchmiast do udostępnienia innym. Historia, chcąc iść z życiem, musi przyspieszyć kroku i badać dzieje współczesne. Potrzebne są informacje o doświadczeniach nauki, techniki. Ba! nawet o opadach deszczowych, suszach, notowaniach meteorologicznych, prowadzonych dawniej, a dziś „pokutujących” gdzieś na dnie archiwów, bibliotek.

Nastąpiło też już podwojenie akt w całym świecie i to w zaledwie pół wieku — licząc stan akt z 1900 r. i stan z 1960 r.! Archiwiści przewidują, że następne podwojenie nastąpi już za 20 lat! Tempo zaśle obrzymie. Ten wzrost akt musi być nagłe zahamowany. Archiwiści powinni mieć wpływ na wstrzymanie dopływu materiału archiwalnego do archiwów.

Powstające obecnie nowe kierunki — działy informacji archiwalnej — przywracają pierwotne funkcje archiwów — pomoc w zarządzaniu krajem na bieżąco. I dlatego archiwa muszą dalej wzmacniać współpracę z ośrodkami informacji w bibliotekach i innych centrach informatyki.

Technicy — niejednokrotnie zadają pytanie — co archiwa wnoszą na bieżąco do banku gospodarki krajowej? Przecież setki kilometrów akt marują się, gdy korzysta z nich ledwie 6 tysięcy historyków przy 500 tysiącach inżynierów i techników. Przy obecnym systemie korzystania z informacji archiwalnej — nie wykorzystają się naszych archiwów należycie i za następne 30 lat. A do archiwów muszą dotrzeć ludzie z innych dziedzin nauki — architekci, urbanisci, inżynierowie budowlani, geolodzy, technicy, filmowcy, elektronyści. Ale dotychczasowa polityka kadrowa w archiwach nie sprzyja funkcji unowocześniania archiwów.

Dostęp do akt obecnie jest trudny i to odstrasza ludzi techniki, ludzi niecierpliwych. W końcu, gdy użytkownik nabierze sam rozeznanie „co pisze w aktach”, stają mu na drodze przepisy. Musi starać się o zezwolenie na zmianę granic chronologicznych korzystania z akt. W urzędach miejskich skasowano już wiele wymaganych dawniej „załączników do akt” w archiwach zreszcie nie. Badacz, inżynier, technik czy działacz społeczny gdy wreszcie dotrze do akt, musi przerzucić wiele teczek, by trafić na właściwy materiał, który przyniosłby pożądaną dla niego informację. A gdy spotka jeszcze jakiegoś egocentrycznie ustawionego

archiwistę, który znane sobie tylko informacje zataja przed interesantem, aby opublikować je samemu i to po latach! Nieraz chowa się całe pozycje, całe inwentarze... albo plany miast, mapy terenu pod pretekstem, że kiedys ujrza światło druku. Znamy niestety takie przypadki i w stolicy i w Łodzi. Miejmy nadzieję, że tacy archiwiści będą odosobnieni w swoim „archiwizowaniu dla siebie” nieprywatnych akt.

Istnieje więc potrzeba sporządzania nowych kart informacyjnych w archiwach wojewódzkich. Informator archiwalny musi się orientować w bieżącym życiu społecznym swego terenu. Takie wymagania stawia przed-

pracownikami archiwów rzeczywistość.

Do ogólnych założeń i szczegółowych wytycznych dla przyszłej informatyki archiwalnej — opracowywanych obecnie przez wybitnych warszawskich informatyków — dr H. Barczaka, dr J. Bugajskiego, mgr K. Piechotę i innych archiwistów — każde z archiwów wojewódzkich na pewno dołoży własne pomysły organizacyjne i koncepcje — chodzi przecież nam wszystkim o jedno, aby właściwa informacja dotarła do właściwej osoby czy instytucji, spowodowała właściwy skutek i we właściwym czasie.



Archiwum Państwowe m. Łodzi i województwa

Zdjęcie autora.

OD POCHODU NA WSCHÓD — DO UCIECZKI NA ZACHÓD (II)

Później, w czasie procesu norymberskiego, w ciągu dwóch tygodni zajmowałem całą położoną naprzeciwko celi Goeringa. Spotykałem się z nim codziennie i nawet zamienialiśmy niekiedy po kilka słów. Któregoś dnia Goering zawiadł do mnie ze swojej celi: „No cóż, sprawa skończona, to nie było brednia”. Od razu zrozumiałem, co chciał przez to powiedzieć...

W końcu 1941 roku Hitler wydał rozkaz natychmiastowego sparaliżowania działalności wywiadu rosyjskiego, który nader szybko rozwijał swoją akcję w całych Niemczech, jak również na terytoriach okupowanych. Ogólny nadzór nad wykonaniem tego zadania powierzył Himmlerowi. Miało to być zespolone działanie mojej grupy wywiadowczej, gestapo i Abwehry. Nad koordynacją pracy tych trzech służb wywiadu i kontrwywiadu, nazwanej umownie „Czerwona kapela”, miał czuwać Heydrich.

Rosjanie dużo wcześniej od nas zwrócili uwagę na zabezpieczenie efektywności swego wywiadu. Nasi specjaliści wyjątkowo wysoko oceniali skuteczność ich metod i systemu organizacji. Hitler uważał nawet, że rosyjskie służby wywiadowcze są o wiele bardziej kompetentne od angielskich organów wywiadowczych i od służb wywiadu jakichkolwiek innych krajów. Tym razem nie zawiodła go intuicja.

W początkowym okresie kampanii na Wschodzie nasz nasłuch radiowy rozwinął szeroka działalność. Kilka dni po rozpoczęciu działań wojennych jedna z naszych zachodnich stacji nasłuchu radiowego wykryła w eterze pracę nieznanej nadajnika, ale nie udało się ustalić jego położenia. Pelengatory wykazywały ogólny kierunek — Belgie, jednakże określenie dokładnych współrzędnych nadajnika okazało się niemożliwe. Ten nie rozwiązany problem był przedmiotem długich dyskusji między dowódcą służby łączności radiowej Abwehry, gen. Thie, szefem gestapo Müllerem i Canarism. Nieco później służba nasłuchu radiowego zarejestrowała w eterze pracę nadajnika radiowego, który, najprawdopodobniej, funkcjonowa-

wał w rejonie Berlina. Jednakże próby określenia jego współrzędnych zakończyły się fiaskiem, bowiem transmisje zostały przerwane i nigdy już nie były wznowione. Naszym zdaniem stacja radiowa przyjmująca sygnały tego nadajnika powinna się znajdować w okolicach Moskwy; była to z pewnością silna stacja odbiorcza. Nie było wątpliwości, że informacje przekazywanej agencji rosyjskich służb wywiadowczych, używając nie znanego nam szyfru.

W jakiś czas później wiedzieliśmy już, że jeden z głównych agentów rosyjskiego wywiadu podpisuje swoje informacje umownym imieniem „Gilbert”, a dwaj inni agenci rosyjscy działający w Niemczech, noszą kryptonimy „Coro” i „Arvid”. Przekazywane przez nich ważne informacje pochodziły ze źródeł rządowych. Jednakże rosyjski agent wywiadu, działający w Belgii („Kent”) nadal był nieuchwytny; udało mu się uniknąć aresztowania podczas akcji, która przeprowadziliśmy w Belgii w końcu 1941 roku.

Nasze służby bezpieczeństwa pracowały bez wytchnienia przy użyciu wszystkich środków, będących w ich dyspozycji. Jednakże dni miały, a my nadal nie mogliśmy wykryć tych dwóch rosyjskich agentów, którzy pracowali w Niemczech. Wkrótce dowiedzieliśmy

się, że pewien pułkownik niemieckich sił zbrojnych, niejaki Becker, który kieruje sprawami technicznego zapotrzenia naszych myśliwców i bombowców, jest zdecydowanym komunistą i dostarcza ściśle tajnych informacji centralnej radiostacji wywiadowczej działającej w północnym Berlinie, skąd przekazuje się je do Moskwy. Dalsze śledztwo stworzyło podstawy do podejrzeń, że w wywiadzie rosyjskim pracuje pięciu oficerów, zajmujących odpowiedzialne stanowiska w sztabie nie-

mieckich sił zbrojnych. Niebawem został aresztowany podpułkownik tego sztabu, Schulze-Beusen (dowódca podziemnej organizacji antyfaszystowskiej — red.). Nie tylko przekazywał on Rosjanom informacje, lecz rozwijał także śmiałą agitację. Pewnego razu, o piątą ranę, Schulze-Beusen, ubrany w mundur wojskowy, groził na ulicy rewolwerem jednemu ze swoich podwładnych, że ten nie wykonuje zadań agitacyjnych w jednej z fabryk.

W skład grupy Schulze-Beusena wchodził także wysoki urzędnik Ministerstwa Gospodarki Rzeszy, Harnack, którego żona była Amerykanka żydowskiego pochodzenia. Kierował on całą sprawą zaopatrzenia w surowce i ich przydziału. Dzięki tajnym informacjom wywiadowczym, które regularnie przekazywał Rosjanom, byli zorientowani w tej dziedzinie o wiele lepiej niż, na przykład, naczelnik wydziału Ministerstwa Uzbrojenia Rzeszy, któremu takich informacji nie podawano do wiadomości wskutek administracyjnej biurokracji i międzyresortowych awarów.

W liczbie osób aresztowanych w tym czasie znalazł się także pierwszy sekretarz niemieckiego Ministerstwa Spraw

Zagranicznych von Schella. Zbierał on informacje nie tylko w ministerstwie, ale nawet przekształcił swoje mieszkanie w salon dyplomatyczny, gdzie zdobywał je z doskonałą zręcznością.

Rosyjska służba wywiadowcza otrzymywała w ten sposób informacje od ludzi zorientowanych w sprawach wszystkich ministerstw Rzeszy. Tajne nadajniki radiowe przekazywały te informacje szybko i operatywnie.

Aresztowania nie ustawały, wykryto nowe grupy podejrzanych. Nasze służby specjalne były zawałone pracą. Trzeba powiedzieć, że w tej powodzi aresztowań przeprowadzanych przez nasz kontrwywiad znalazły się setki ludzi. Być może, iż niektórzy spośród nich byli niewinni, ale w warunkach wojny bezlitośnie realizowano zasadę: „razem aresztowani, razem powieszani”.

Tymczasem przechwycono sygnały nowego nadajnika radiowego, pracującego w okolicach Marsylii. Według opinii naszej służby nasłuchu, nadajnik ten działał na zasadzie wymiany z radiostacją w Brukseli. Potwierdziły to sygnały wywoławcze i używany kod. W tym samym czasie w Belgii, Holandii i w innych okupowanych krajach przechwycono sygnały jeszcze innych nadajników. Sądząc z sygnałów wywoławczych, najprawdopodobniej, należały one do tej samej grupy wywiadowczej. Ich wykrycie było coraz trudniejsze, ponieważ Rosjanie nie dopuszczali do ponowniania błędów.

Poszukiwania „Giberta” i jego radiostacji były zadaniem wyjątkowo trudnym. Zaledwie nasze pelengatory, mając już dane nasłuchu, zaczynały ustalać współrzędne — informator przerywał transmisje, żeby ja po pewnym czasie wznowić, ale już w zupełnie innym miejscu, oddalonym nieraz o ponad 100 kilometrów. Każde przeczesywanie terenu kończyło się fiaskiem, nie mogliśmy go wykryć! A tej samej nocy, jakby szczydząc z nas, sygnały nadajnika radiowego znów leciały w eter, ale już z innego miasta...

Nadal przechwytywaliśmy sygnały

wiadz nowych, nie znanych nam nadajników radiowych. „Bitwa” buszowała w Brukseli, Antwerpii, Kopenhadze, Sztokholmie, Berlinie, Budapeszcie, Wiedniu, Belgradzie, Atenach, Stambule, Rzymie, Barcelonie, Marsylii. Nasze pelengatory pracowały bez wytchnienia i wszędzie. Szczególnie trudne były poszukiwania w krajach neutralnych, ponieważ trzeba było tam doкладnie maskować całą aparaturę, obsługującą ją personel i agentów.

Już latem 1942 roku, po moich rozmowach z kierownikami służb specjalnych przeróżnych ministerstw, z naukowymi i ekonomicznymi ekspertami, a także po przestudiowaniu obszernej tajnej informacji wywiadowczej, doznałem przyspieszającego uczucia niepewności i paniki. Przede wszystkim niepokoiły mnie: wojskowy potencjał USA i siła Armii Czerwonej, której nadal nie doceniało naczelne dowództwo, ślepo wierząc w uderzeniową potęgę Wehrmachtu i w niemiecką strategię. Nasz przemysł ciężki, jeszcze nie włączony w tryby wojny totalnej, pracował z maksymalnym oddaniem. Budowaliśmy wielkie plany, mającące w czasie sukcesów, a najwyżsi dostojnicy nazistowskiej wiaź wierzyli w zwycięstwo. Ale ja odczuwałem już obrót koła historii. Zdawałem sobie sprawę, że „zwycięstwo totalne” jest niemożliwe. I teraz nurtowało mnie pytanie: w jaki sposób poinformować naszych liderów o tej faktycznie ciężkiej sytuacji, jaka ukształtowała się w tym czasie.

Nasi odpowiedzialni przywódcy nie mieli właściwego wyobrażenia o tym, co działo się poza granicami Niemiec. Ich ograniczone poglądy w sferze polityki wywierały określony wpływ na wszystkie akcje. Było to szczególnie charakterystyczne dla kierownictwa Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Zaczęliśmy poważnie zastanawiać nad tym problemem i doszedłem do następującego wniosku: Reich powinien rozpocząć rozmowy, póki ma siły do prowadzenia wojny. Nie było jeszcze za późno, żeby z naszymi zachodnimi przeciwnikami osiągnąć kompromisowe porozumienie, ale możliwość tę należało rozpatrzyć trzeźwo i, podobnie jak robił to makler, wszystko dokładniej zbilansować: lewej oddać połowę, niż zbankrutować i stracić wszystko.

(c.d.n.)

Dalszy ciąg ze str. 1

Na drugi dzień słysze, że w okolicach wysadzonych mostu pływają jakieś trupy. Musiały być gdzieś niedaleko wrzucone, gdyż rzeka jest jeszcze zamrożona, a tylko wąskie przesmyki szybszego nurtu są wolne od lodu oraz w miejscach, gdzie w czasie wysadzania mostu kra została zniszczona. Ludzie wygłaszają nieprzychylnie opinie pod adresem tych, którzy dokonują samosądów. Większość uważa, że ci, którzy za „Niemca” siedzieli cicho, to teraz chcą się odgrywać, tym bardziej, że niektórzy rozpoznają wśród trupów małżeństwo kolonistów niemieckich, które w czasie okupacji pomagało Polakom i dlatego zostali.

Takie były pierwsze godziny wyzwolenia ziemi łowickiej. Od żołnierzy radzieckich słyszeliśmy, że Stalin powiedział, iż o przyszłości Polski zdecydują sami Polacy, a oni, żołnierze, tylko mają germańca ubić.

— Niedługo przyjdą wasze soldaty i sami b'dziecie się rządzić i siebie — wyjaśniali.

Materiały budowlane z okopów zwożę do swego gospodarza chyba ponad tydzień czasu. Nawiozłem tych różnych cegieł, cementu, drewna tyle, że wystarczyłoby chyba na wybudowanie dwóch budynków murowanych.

Wieczorami jest dyskusja o nowej władzy, czego możemy się po niej spodziewać. Często też dociekamy przyczyn zabicia osób, które widziałem pod mostem. Najczęściej padają stwierdzenia, że z chęci objęcia ich gospodarstw rolnych, lub że byli niewygodni dla niektórych ludzi. Być może, że i mnie będą chcieli „sprzątnąć” bo mimo, że starałem się mało wiedzieć, to jednak wiem dość dużo o czasie, który minął.

Postanawiam ujawnić we wsi, że posiadam broń. W stodole mam ukryty ca-

ły arsenał. W nocy czuwam, żeby nie dać się zająć znieczeka, gdyby przyszło więcej osób, będą bronili się granatami. Gospodarze we wsi wiedzą, że mam

proponują mi, bym wstąpił do ich organizacji zbrojnej. — Będziemy zabijać — mówią — komunistów, bolszewików, bo Polska mu-

Nastój panuje wszędzie podniosły. Przez ustawione na placu megalony słychać wojskowe marsze i piosenki. Wojskowi polscy i radzieccy spacerują ra-

zasady władzy. Szczególnie dużo tej roboty wyjaśniającej zawiadzamy oddziałom pierwszej Armii Wojska Polskiego, przechodzącym przez ten teren za Armią Czerwoną. Wieczorami słuchamy ich opowieści o organizowanej armii, o walkach na froncie, o jaką Polskę walczą, o Wandzie Wasilewskiej, gen. Berlingu, Żymierskim, o Stalinie. Większość z nich ma w mowie akcent rosyjski, co wśród dużej części miejscowego społeczeństwa jest wykorzystywane do szerzenia pogłosek, iż są to Rosjanie poprzebierani w polskie mundury. Dopiero po kilku dniach, gdyż część żołnierzy polskich kwateruje w poszczególnych domach we wsi i przed udaniem się na spoczynek nocny odmawia pacierz, zaczyna ta nieufność ginać.

Powstają we wsi organizacje PSL i OM TUR oraz „Wici”. W remizie strażackiej opracowujemy sztukę, którą przychodzi obejrzeć cała wieś.

Wkrótce po wsi rozechodzą się wiadomości, że jeden z miejscowych gospodarzy wstąpił do PPR. Nie pamiętam, jak on się nazywał, wiem tylko, że miał chałupę z drewnianych bali, pomalowanych na niebiesko. Wśród dużej części miejscowych gospodarzy występuje zmo- wa, by tego peperowca, któremu Bierut dał 30 000 zł, bojkotować, żeby mu nic nie pożyczają ani nie pomagają, a idąc do kościoła, spluwać przed jego gospodarstwem.

Wyobrażam sobie, że ten peperowiec na pewno sam siedzi w domu i martwi się, że go co zaniejszy gospodarze ze wsi bojkotują, ale kiedy poszedłem go pogładać, przekonalem się, że jednak wielu innych mieszkańców wsi przychodził do niego, że ma ludzi do rozmowy, że nie się przejmują pogórkami.

Wkrótce wieś została radiofonizowana, a radiodbiornik ustawiony zostaje u sołtysa. Przez radio dowiadujemy się, co się dzieje w Polsce i w świecie. Trzy razy dziennie włączany jest dziennik z Londynu, poprzedzany kilkakrotnym bum, bum, bum. Na ten czas mężczyźni zastępują wszelkich robot i idą wysłuchiwać tych wiadomości.

Po pewnym czasie dociera na wieś zarządzenie, żeby wiadomości z Londynu nie nadawać do sieci radiowej, a kto chce, niech sobie Londynu słucha indywidualnie. W gospodarstwach, gdzie było więcej osób, a mało ziemi, część tych osób otrzymuje ziemię poniemiecką, a niektórzy szykują się do wyjazdu na zachód. Do wsi docierają pierwsze wiadomości o planowanej reformie rolnej w najbliższych folwarkach. Duża część mieszkańców wsi, zwłaszcza z gospodarstw w których ilość osób była niewspółmiernie wysoka w stosunku do posiadanej ziemi, wyjeżdża do miast, a szczególnie do Łodzi.

Nadchodzi czas pokoju, w którym każdy człowiek stara się znaleźć swoje miejsce.

WOJCIECH SLEZANKOWSKI

NADCHODZIŁ CZAS POKOJU

broń i potrafię się z nią doskonale obchodzić.

Pewnego dnia zgłasza się do mnie dwóch młodych chłopaków, braci T. i

si być dla Polaków. Odpowiadam, żeby się odpięrzyli, bo dosyć już jest przełanej krwi, a walka Polaka z Polakiem jest walką bratobójczą, co innego było z okupantem. Grozą mi, że jeśli ich wydam, to „zalatwią” mnie inni. Obiecuje im, że tego nie zrobię, bo donosić nie lubię, a jak będą się stawiali, to zgina razem ze mną, co mówiąc wyjmuję spod marynarki granat przeciwpożarowy (takie ja), wyciągam zawleczkę i trzymam w ręku. Obaj się wystraszyli i proszą, żebym wyrzucił granat, a sami w nogi! Mnie też obleciał strach, czy czasem granat nie ma jakiejś wady i nie rozerwie mi się w rękę, chociaż cały czas nie zwalnia „łyżki”. Szybko do rzeki i w miejscu, gdzie nie było kry, wrzucam granat do wody! Za chwilę huk i duży słup wody strzela w niebo. Gdy woda opadła — wśród wielu ogłuszonych ryb pływa też sielawa, ważąca około 3 kg. Wyciągam ją z wody i niosę do domu na obiad.

Do gminy w Kompnie w charakterze komendanta wojennego przysłany zostaje jeden z oficerów radzieckich. W budynku mojego b. gospodarza C. urządzony jest posterunek MO. Wstępują do milicji ludzie, których nie znam, gdyż nie pochodzili z tych wsi.

Nowa władza apeluje do gospodarzy, by odwieść do Łodzi ziemniaki i zboże, które zostało oddane na kontyngenty Niemcom. Na żywność czekają robotnicy łódzcy. Zbiera się we wsi kilku gospodarzy, ładujemy na wozy ziemniaki i na wieczór wyjeżdżamy do Łodzi. Przyjeżdżamy rano na obecny Plac Barlickiego, wyspułeniemy z worów ziemniaki, a od komitetu, który przyjmował od nas przewieziony towar, otrzymujemy gorącą kawę.

Rozglądam się ciekawie po mieście, gdyż jestem po raz pierwszy w Łodzi.

zem z cywilami, widzę dużo biało-czerwonych opasek na rękawie.

Patrze na to wszystko, bo mimo zmniejszenia calonocnej jazdy i zimna, i mnie udziela się ten podniosły nastrój. Układkiem by mój gospodarz nie widział, wycieram oczy, które nie wiadomo kiedy zrobiły się mokre. Dopiero teraz czuję, co mam już za sobą.

Po zjedzeniu śniadania jedziemy z powrotem do domu. Teraz drogę powrotną przebywamy szybciej, bo i koniom lżej i nam jakoś radośniej. Na wieczór dojeżdżamy do domów, a potem długo w noc opowiadamy przybyłym sąsiadom swoje wrażenia z drogi.

Od pierwszych dni wyzwolenia zaczyna opuszczać wieś wywiezieni warszawiacy. Powrót ich odbywa się różnymi środkami transportowymi, ale najczęściej zmagają się z żołnierzami radzieckimi, którzy samochodami wracają na wschód po zaprzatzeniu.

W drugą stronę bez przerwy ciągną na Berlin kolumny wojskowe. Przechodzą setki czołgów, armat i wreszcie po raz pierwszy widzę „katiusze”, o których wiedziałem dotąd tylko z „bibuły”. Poza zorganizowanymi kolumnami wojskowymi zaczynają pojawiać się pojedyncze wozy konne z maruderami. Na wsiach zaczyna dochodzić do pierwszych spięć pomiędzy niektórymi gospodarzami.

Wkrótce we wsi zaczęło organizować się życie w nowych warunkach. Nadal jeszcze obowiązują kartki i kontyngenty, ale obok tego zaczynają się wyjaśniać



Fot. Archiwum

MASZYNY POMAGAJĄ OKU

Dalszy ciąg ze str. 1

mość ludzi. Ostatecznie tego typu reklama została prawnie zakazana. Nas jednak interesuje to, że przy tej reklamie używany był właśnie tachistoskop do ekspozycji bodźców wizualnych.

Innym urządzeniem używanym przy uczeniu szybszego czytania jest przyrząd regulujący szybkość czytania („reading pacer”). Istnieje wiele odmian tego przyrządu lecz ogólna zasada działania jest ta sama. Najczęściej ma on kształt pudełka z otworem (okienkiem), w którym ekspozowany jest tekst. Tekst ten jest wydrukowany na taśmie papierowej, która jest z odpowiednią szybkością nawijana na walek znajdujący się wewnątrz pudełka. Powoduje to przesuwanie się tekstu w otworze przy czym prędkość przesuwu można regulować dowolnie.

Największym wzięciem wśród mechanicznych środków wizualnych używanych do zwiększenia szybkości czytania cieszą się specjalne filmy. Prace w tym kierunku zapoczątkowane zostały pod koniec lat trzydziestych przez W. F. Dearborn i I. H. Anderson w Stanach Zjednoczonych. Najlepiej filmy zostały jednak wyprodukowane stosunkowo niedawno przez Carborundum Company z siedzibą w Manchester. (Jest to przedsiębiorstwo, które nie szczędzi funduszy na podnoszenie kwalifikacji personelu w takich dziedzinach jak właśnie bardziej efektywne czy-

tanie, pisanie listów i sprawozdań, umiędzynarodowienie przeprowadzanie rozmów telefonicznych (i), itp.).

Optional Phrase coaching at average of 200 w.p.m.

on this occasion discovered several groups of islands between Australia and the Fiji Islands

Sequence (a)—visible for 0.5 second:

on this occasion discovered several groups of islands between Australia and the Fiji Islands

Sequence (b)—visible for 0.5 second:

on this occasion discovered several groups of islands between Australia and the Fiji Islands

Sequence (c)—visible for 0.5 second:

on this occasion discovered several groups of islands between Australia and the Fiji Islands

Sequence (d)—visible for 0.5 second:

It will be seen that the phrase 'discovered several groups of' is visible for a minimum of 0.5 sec. (8 frames of film) and a maximum of 1.5 secs. (24 frames of film).

Wyprodukowane w tym przedsiębiorstwie filmy eksponują tekst z szybkością od 100 do 1000 wyrazów na minutę. Na ekranie widoczna jest cała strona książki. Poczynając od lewej strony górnej linijki, wzdłuż linijek tekstu porusza się z odpowiednią szybkością pasek światła, który pozwala na odczytanie poszczególnych zwrotów. Reszta tekstu, choć widoczna, nie jest czytelna, gdyż jest fotografowana przez zielonkavo za-

barwioną szybę. (Jak na załączonej reprodukcji).

Taka metoda ekspozycji tekstu w dość znacznym stopniu przypomina normalne czytanie gdyż, jak widać z przykładu, zwrot, który ma być w danym momencie czytany pozostaje jeszcze przez pewien czas podświetlony co pozwala czytelnikom na pewne zróżnicowanie tempa czytania, w granicach narzuconej szybkości, zależnie od trudności tekstu. Nazwa metody — „optional phrase” — oznacza tu właśnie danie czytelnikom pewnej swobody w sposobie czytania poszczególnych zwrotów.

Komplet filmów wraz z podręcznikiem dla nauczyciela oraz zestawem programowanych podręczników dla uczniów kosztuje 100 funtów.

Zapotrzebowanie na filmy i inne pomoce mechaniczne stale wzrasta co świadczy o ważności problemu efektywnego czytania. Mimo że na początku wyrażaliśmy pewne zastrzeżenia odnośnie metody zwiększenia efektywności czytania przez ćwiczenia wzrokowe, to musimy przyznać, że opisane przez nas pomoce mechaniczne dają pewne pozytywne rezultaty. Nie jest jednak wykluczone, że zwiększona efektywność czytania jest często po prostu wynikiem lepszej motywacji uczących się, gdyż, jak stwierdził jeden z badaczy, ludzie pozytywnie umotywowani mogą zwiększyć szybkość czytania o 40 proc. po godzinnej rozmowie z dobrym nauczycielem.

BOGDAN KRAKOWIAN

POCZTA LITERACKA

J.C. Łódź. Wyraża Pan w swoich wierszach umiłowanie i troskę o sprawę Łodzi, ale czy czytelnika potrafi Pan przekonać taką frazą:

„Trzeba koniecznie ciągle powiększać Łódź, Aby Europę u nas było czuń Włączyć z okolicy przedmieścia liche, Choć wiodły życie szczęśliwe i ciche! Wyburzy się domów w mieście tysiące, To są urbanistów wizje gorące...”

Więcej w tym tekście urbanistyki niż poezji. Niestety.

JAK — Łódź. Niedobre są te wiersze. Banalne i nieporadne, choć z rytmem sobie Pan radzi. Ale rytm dobry jest w piosence, choć i tam nie zastąpi wszystkiego.

Poza tym wiele tu niezamierzonych — jak sądzę — humoru. Pisze Pan poważnie, a tekst wygląda śmiesznie. Na przykład:

„Jeszcze raz wypije kielich rozbije a ty się patrz i nie mów nic krew się poleje wódka rozleje ludzie się będą śmiać”

Otóż to. Ludzie się będą śmiać, choć autorowi zapewne nie do śmiechu. Trzeba więc tak przekazywać swoje nastroje aby czytelnik uwierzył i zrozumiał je właściwie. Wiem, że to niełatwa sprawa — ale kto powiedział, że pisanie wierszy jest łatwe.

KRYTYK

Reprodukowane współcześnie szkice maszyn i urządzeń wymyślonych przez Leonarda Da Vinci budzą podziw i zastanowienie, jak ten genialny człowiek Odrodzenia mógł tak daleko sięgnąć w przyszłość fantazją. A przecież sięgnął i przyszłość potwierdziła jego przewidywania. Niewielu ludziom to się udało, choć wielu było takich, którzy wyprzedzili swoją epokę. Można tu choćby wspomnieć o rosyjskim uczonym, synie polskiego zesłańca. Konstantym Ciolkowskim, zwanym ojcem współczesnej astronautyki. On to już w 1894 roku opisał konstrukcję samolotu zrealizowanego w 15 lat później, on też w 1903 roku opracował teorię lotu rakiety jednostopniowej, a w 1929 — wielostopniowej. Były to przedsięwzięcia wycelowane w przyszłość, ale też i przyszłość je potwierdziła, wynosząc nie tylko maszyny ale i człowieka na Księżyc.

Księżyc jest najbliższym Ziemi ciałem niebieskim nie dziwo więc, że od lat budził zainteresowania. O locie na Księżyc marzył Juliusz Verne i nasz polski pisarz — Jerzy Żuławski. Dziś bawią owe marzenia, a przy okazji lektury tych książek, należących do historii science fiction, wyraża się pogląd, że techniczne pomysły Juliusza Verne były dziecinnie śmieszne. I to prawda, gdyż niemożliwe jest wystrzelenie ludzi, zamkniętych w pociągu armatnim, ale przecież Juliuszowi Verne chodziło nie tyle o techniczne szczegóły tego przedsięwzięcia, co podsuniecie ludziom naszej myśli o oderwaniu się od Ziemi, jak też — już w innej książce — o zejściu w jej głąb czy w głąb wód.

Dziś czytamy te książki jak baśnie o narodzinach współczesnej nauki techniki, jak być może nasi następcy czytają będąc liczną naszę dzieła o przyszłych stuleciach. Tym bardziej że nasze wyobrażenia nie tylko o technice XXI wieku wydadzą się im być może śmieszne i naiwne, ale przede wszystkim stosunki społeczne, jakie im przagnęmy w naszym kreatywnym zapędzie stworzyć i zaoferować. Im bowiem bardziej odrywamy się od współczesności, tym bardziej stajemy się bezradni. I tu warto przywołać przykład trylogii Jerzego Żuławskiego: „Na srebrnym globie”, „Zwycięzca” i „Stara Ziemia”, która to trylogia ukazała się w latach 1903—1911, a da się i dziś czytać już nie dla fantastycznych pomysłów z mieszkańcami drugiej strony Księżyca, co dla fantastycznej analogii z naszymi powszechnymi dziejami.

O Księżycu wiemy dziś znacznie więcej niż w latach przelomu dwu wieków wiedział o nim Jerzy Żuławski. Na Księżycu byli ludzie, a inni — cały niemal świat — oglądał na swoich ekranach telewizyjnych ich spacer po srebrnym globie. I o Ziemi dziś wiemy nieporównanie więcej, a mimo to lektura trylogii Jerzego Żuławskiego może być atrakcyjna poprzez karykaturalne pokazanie narodzin Mitu. „Zwycięzca” jest przecież nieczym innym jak alegorią do Zbawiciela. I gdyby — jak zauważa Stanisław Lem — nie manieryczna stylizacja trylogii Jerzego Żuławskiego mogłaby ona wejść na state do historii literatury science fiction. Bibliografie jej jednak nie notują.

Jerzy Żuławski pisząc historię Ziemi na Księżycu przewidział jednak — mimo woli — zupełnie coś innego, dzisiejsze, współczesne próby odnalezienia na Ziemi śladów przybyźców z Kosmosu. Mamy w historii ludzkości sporo zjawisk do dziś jeszcze nie wyjaśnionych, a które pobudzają fantazję uczonych, pisarzy i dziennikarzy. Dziś w epoce lotów kosmicznych możemy próbować innej niż tradycyjna interpretacja tych zjawisk. Tak dziś patrzymy na tajemnicze znaki z płaskowyzu Nazca w Andach, podobnie staramy się interpretować powstanie ruin miasta Tiahuanaco nad jeziorem Titicaca i wiele innych faktów z naszej ziemskiej przeszłości. Mają te interpretacje swoich zwolenników i mają swoich przeciwników.

Zenon Kosidowski w „Królestwie złotych lez” pisze między innymi: „Według przestarzałego mitu peruwiańskiego założycielem Tiahuanaco był Kon-Tiki-Wirakocza, biały brodaty bóg, który pojawił się w okolicy jeziora Titicaca, by nauczyć ludzi rolnictwa i rzemiosła. Był to dobroczynny nauczyciel zdrowych i lekarz chorych, co zastąpił z niebios, by użyć ludziom w ich pełnym cierpieniu żywocie.

(...) zasmucony do głębi niewdzięcznością ludzka powędrował za morze i znalazł po drugiej stronie widnokręgu. Wiele badaczy przeszłości Peru nie wyklucza możliwości, iż legenda o Wirakoczu jest pogłoskiem jakichś prawdziwych wydarzeń historycznych. Wysłunio między innymi tezę, że w okolicy jeziora Titicaca mieszkali ongiś ludzie białej rasy, i że, wyparci przez plemiona Aimarów, udali się na tratwach w podróż morską, by skolonizować wyspy Pacyfiku”. Zdaniem norweskiego podróżnika Thora Heyerdahla zawędrowali oni, bądź ich potomkowie na Wyspy Wielkanocne, co sugeruje wiele podobieństw w sztuce i technice, jakich ślady zachowały się nad jeziorem Titicaca i na Wyspach Wielkanocnych. Ale to wszystko nie wyjaśnia pochodzenia białych bogów, którzy zesłali z niebios. W legendach i mitach wielu ludów z różnych części Ziemi ciągle powtarzają się elementy mitu o Mesjaszu, który przyszedł uszczęśliwić ludzi, a potem odszedł by wrócić.

W rosyjskim almanachu „Na lądzie i na morzu” fizyk M. M. Agrest opublikował artykuł, w którym twierdzi, że: „... w zamierzonej, ale historycznej epoce zbliżył się do ziemi międzyplanetarny

pojazd kosmiczny... Kosmonaut, który wylądował na Ziemi, odznaczył się siłą i mądrością, był uznany za wyższe istoty, za synów bogów. Przyniesli oni na Ziemię wiele cech swojej kultury... Czyż to nie kosmonauci przekazali ziemni różne a dokładne wiadomości o wszechświecie, z

BARDZO TRUDNO ZOSTAĆ BOGIEM

których część przetrwała w formie legend poprzez tysiąclecia aż do XVIII w.? Czyż nie od przybyźców z zewnątrz pochodziła źródła szczególnych wiadomości z zakresu techniki budowania, matematyki, astronomii i innych gałęzi nauki, które, jak twierdzą niektórzy uczeni, przetrwały na język architektury i form geometrycznych przetrwały w różnych pomnikach starożytności?”

Aleksander Kondratow w „Zaginionych cywilizacjach” sprzeciwia się takiemu poglądowi. Twierdzi on, że: „W historii ludzkości, szczególnie tej najstarszej, jest jeszcze bardzo wiele „białych plam”.

(...) Ale pominiawszy te „białe plamy” (...), wysiłki archeologów, językoznawców, specjalistów usiłujących odczytać nieznane pisma, etnografów, historyków sztuki i wielu uczonych innych dyscyplin przywracają do życia rzeczywisty obraz starożytnej historii, ten złożony i długi proces, który doprowadził do powstania wysokiach cywilizacji z ich monumentalną sztuką, hieroglifami, skomplikowanymi obrzędami religijnymi, znakomitą poezją i muzyką, początkami wiedzy z dziedzina astronomii, matematyki, medycyny.

Nie podarowały ich pokonany narodom „rasy wyższe” ani narody wybrane ani przybyźce — twórcy cywilizacji z Atlantydy, Egiptu, Dwurzeza czy Ameryki, nie wszechmocni „goście z kosmosu”. Cywilizacje te narodziły się i rozwijały w oparciu o obiektywne prawa historii. Cywilizacje świata starożytnego zaginęły, ale ślady ich oddziaływania i wielokrotnie osiągnięcia są żywe do dziś”.

II.

Ziarno zasiane przez ludzi usługujących przy pomocy fantastycznych wyobrażeń i analogii ze współczesnością przenikać mroki przeszłości — zaczęło kiełkować. A. Kazancew w fantastycznych opowiadaniach usiłował wytłumaczyć tajemnicę kalendarza znajdującego się na Bramie Słońca w Tiahuanaco, twierdząc, że jest to kalendarz pochodzenia pozaziemskiego. On też próbował w fantastycznym opowiadaniu dowiedzieć, że słynny Tunguski Meteor był... statkiem kosmicznym, który uległ katastrofie w ziemskiej atmosferze.

Właden Bachnow w opowiadaniu „Piątą od lewej...” dał fantastyczno-ironiczną hipotezę powstania owego miasta — Tiahuanaco, choć nazwa miasta tego w opowiadaniu nie pada.

Mieszkańcy planety Ozu postanowili przysiąc z pomocą mieszkańcom innych planet Galaktyki, zamieszkałych przez istoty rozumne. Na każdej z nich osadzono koordynatora oraz istoty z Ozu, które upodobnione do mieszkańców danej planety miały przyspieszać jej rozwój, podsuwając im te osiągnięcia wiedzy Ozonitów, które mogłyby korzystnie wpłynąć na społeczny rozwój każdej z planet, jaką zaopiekowano się w jej własnym interesie. Ale mieszkańcy tych planet są nad wyraz oporni. Pała nowatorów i uparcie tkwią we własnym zacofaniu. Na planecie Ozu tworzy się opozycja wobec tego typu eksperymentów, gdyż oczekiwanie na rozwój społeczny podopiecznych planet, który mógłby doprowadzić do oczekiwanej wymiany handlowej trwa zbyt długo, a eksperyment społeczny kosztuje zbyt wiele. Koordynatorzy natomiast robią wszystko, aby utrzymać się na dość intratnych posadach. I oto wyrusza w Kosmos inspekcja z planety Ozu. Koordynator Ejbi Si, nadsyłający zbyt optymistyczne sprawozdania ze swoich poczyną, czuje się zagrożony. Buduje więc miasto, które byłoby egzemplifikacją jego tez zawartych w sprawozdaniach, a dowodziło, że mieszkańcy planety, którą mu powierzono, są już na etapie niewolnictwa, które sprzyja rozkwitowi nauki i architektury, choć istotnie tkwią jeszcze z upodobaniem w epoce patriarchatu. Ale główny koordynator planety Ozu — Dabl Ju nie dał się zwieść. Mistyfikacja wychodzi na wierzch, tylko, że już nie ma żadnego znaczenia. Zwycięstwo opozycji na planecie Ozu przekreśla i tak losy eksperymentu.

„Pozostawiam samemu sobie mieszkańcy planety powołaniu się na rozwój — pisze Właden Bachnow. — A po trzydziestu tysiącach lat mieszkańcy archeologicznie odkryli w nieprzebranych dżunglach opuszczone miasto nieopisanego piękności, weale niepodobne do innych miast Uny (planeta, która opiekował się koordynator Ejbi Si — przyp. L. W.) i zbudowane z nieznanymi na Unie materiałami. I przypomnieli sobie wówczas stare legendy o nie wiadomo skąd przybyłych ludziach, co nie wiadomo dokąd wywedrowali, którzy umieli pono to, czego nikt nie umiał i dotychczas jeszcze nie umie.

(...) Tajemniczy gród dał asumpt do napisania 22 442 rozpraw stworzenia 10 237 powieści i nakreślenia 1143 filmów. W żadnym jednak z wymienionych dzieł autorem i tak nie udało się dotrzeć do istoty rzeczy. Jeśli oczywiście nie liczyć tego niedługiego, lecz w pełni wartygodnego opowiadania”.

Eksplodują opowiadania i hipotezy o „gościach z Kosmosu”, którzy mieli dobrośliwy wpływ na nasze losy dala też asumpt do wysnuwania odwrotnych historyjek. Skoro rozwinęte cywilizacje mogły dotrzeć na Ziemię, to Ziemia, będąc już w epoce dalekich lotów kosmicznych, będąc podjęta podobne działania. A więc i my w przyszłości będziemy mogli wpływać na rozwój innych społeczności, innych planet. Pod warunkiem oczywiście, że ich mieszkańcy będą podobni do nas. I tak powstała po-

SCIENCE FICTION

cię o schematy historyczne — brane ze starożytności lub ze średniowiecza. Widzimy wówczas społeczność złożoną z kast lub niby feudalna, z władcami kapłanami, magami itp. Nie ma zresztą opowieści historycznej, której nie dąłoby się orzerobić na utwór SF, dopisując jej wstęp jednostronny, powiadając, iż wszystko to zachodzi na planecie alfy Matego Psa lub na planecie Wieloryb, ewentualnie z dodatkami że mowa o potomkach Ziemi, co tam przed dwustu laty przybyli. Od przelotnej powieści historycznej różni się jej persyflaż uwalniany masowo w obrębie SF tym tylko, że jest narracyjnie, tj. stylizacyjnie i konstrukcyjnie — prymitywniejszy”.

Przy tego typu zabiegach nie trzeba po prostu dbać o szczegóły historyczne, troszczyć się o zgodność z epoką, jej duchem. Można tu dowol-

skrajnej, bo wydumanej utopii, gdzie panuje nierealna szczęśliwość bądź to planety zorganizowane na zasadach piekła społecznego, które jest tylko transplantacją naszych najbardziej ujemnych zjawisk i tendencji społecznych. A przecież kreowanie społeczeństw przyszłości, jakie dokonuje się współcześnie, odbywa się w warunkach, kiedy nauka poznała mechanizmy i prawa rządzące rozwojem ludzkości. Trudno — oczywiście — wymagać, aby autor piszący z pozycji ideologicznych, właściwych formacji społecznej poprzedzającej socjalizm, uznawał zwycięstwo ustroju jemu obcego, trudno też jednak zrozumieć, nam przynajmniej, że można rysować na kartach science fiction przyszłość nauki i techniki, zostawić społeczeństwo w stanie kamieniały lub — co gorsza — cofając je dalej w przeszłość.

Autorzy wielu utworów science fiction nie stawiają sobie żadnych społecznych celów, konstruując obraz społeczeństwa tylko po to, aby opisywane wypadki działy się w jakichś „naturalnych” warunkach, ale obiektywnie patrząc na to, trzeba ocenić takie zabiegi jako niedostatek naszych, współczesnych wyobrażeń o przyszłości. Zresztą i futurologia, traktowana znacznie poważniej niż beletrystyka science fiction, też jest bezradna wobec wielu zjawisk współczesności, nie potrafiąc przewidzieć dróg ich dalszego rozwoju. Przykładem tu może być bezradność futurologii wobec kryzysu paliwowego, co już niejednokrotnie podkreślano, a przecież najbliższa przyszłość może sprawić i inne niespodzianki, o których się futurologom nawet nie śniło.

Nie przekreśla to ani roli i znaczenia futurologii, ani — tym bardziej — science fiction w jej literackiej wersji. Obok nurtu „czarnego” w science fiction występuje też nurt „jaśniejszy”, próbujący głosić po-

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

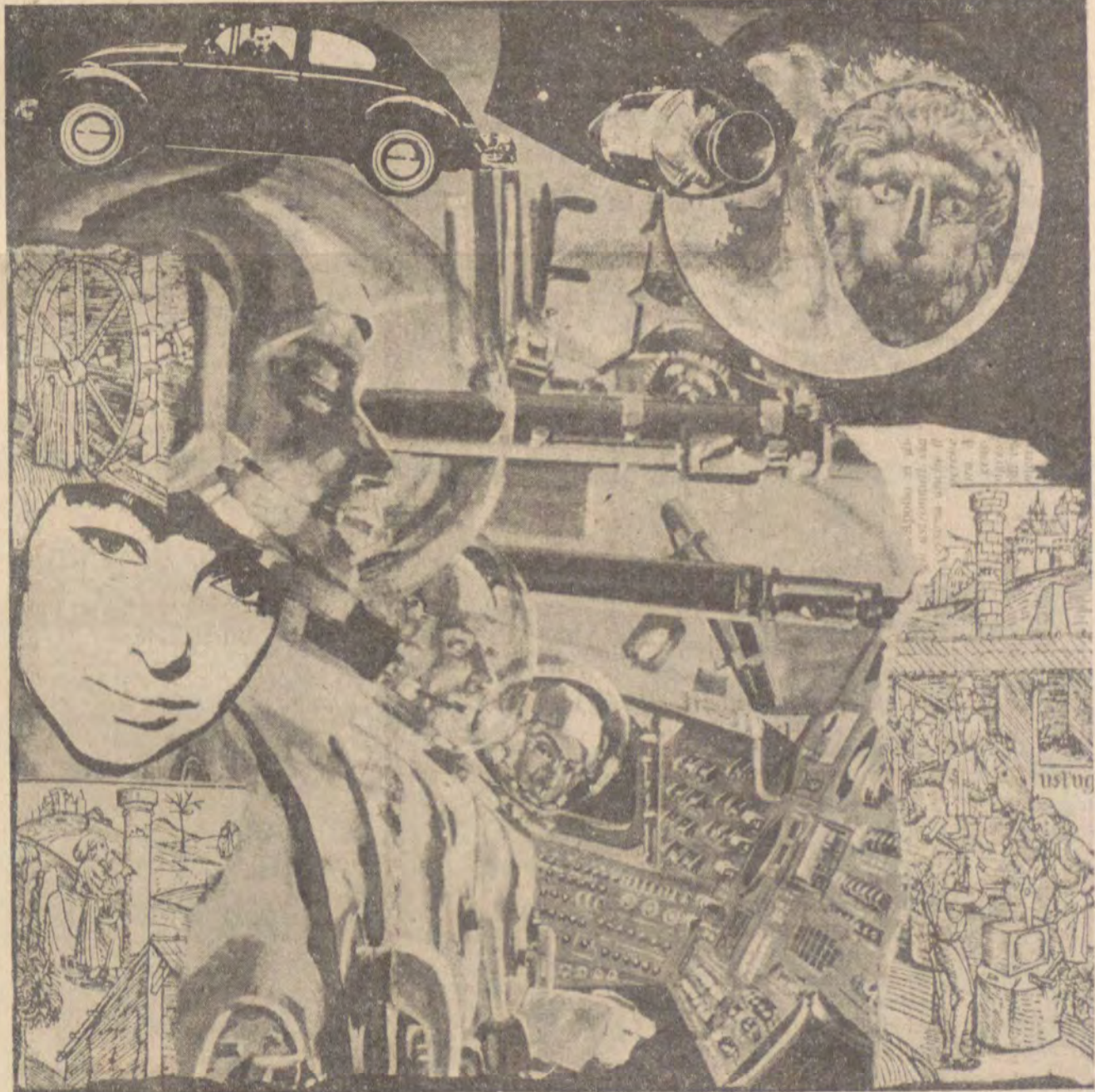
wieść Arkadija i Borysa Strugackich — „Trudno być bogiem”.

Bohaterem tej powieści jest Anton — Ziemiański, który na jednej z planet przedzierga się w dom Rumata i wraz z wieloma innymi Ziemiańkami ma dodatnio wpływać na społeczeństwo tej planety, które znajduje się w epoce wczesnego średniowiecza. Ziemiański dysponując wysoką techniką, złożył bazę pod Biegunem Północnym planety, a każdy z nich ma za instalowany nadajnik telewizyjny. Don Rumata ma go w złotej obręczy, którą nosi stale na głowie i wszystko, co się dzieje na planecie jest transmitowane do bazy i stąd dalej na Ziemię. Tam siedzi zespół uczonych i śledzi rozwój społeczny planety, którymi interesuje się Ziemia. Zwiadowcom — przyspieszaczom nie wolno jednak ingerować w bieg wypadków. Mają chronić mieszkań-

nie posługiwali się schematami powieści historycznej, czerpać nie ze źródeł, a z drugiej i trzeciej ręki, wykorzystując stereotypy Waltera Scotta, Wiktora Hugo czy ojca i syna Dumasa.

III.

Autorzy science fiction próbowali już umieszczać swoje akcje w najróżniejszych warunkach, od laboratoriów zwiariowanych naukowców począwszy a na najprzedszywniejszych planetach skończywszy. Byli i tacy, którzy dokonali swobodnego zabiegu historycznego, odwracając bieg dziejów, pokazywali Ziemię po zwycięstwie Hitlera. I jeśli science fiction swobodnie porusza się po obszarze techniki, bo wystarczy prawidłowo skonstruowana fabuła, wartko tocząca się akcja, aby czytelnik łatwo przelknął wszystkie techniczne cu-



COLLAGE

ców planety o światlejszych umysłach, podsuwać im takie pomysły, które sprzyjałyby rozwojowi społecznemu planety.

I choć rzecz dzieje się na obcej planecie, to jest to analogia do naszego średniowiecza. Wszystko tu na odległość pachnie Ziemią, mimo, że nazwy są zmyślone i sytuacje i wypadki. Powieść interesująca, czyta się ją jednym tchem, ale niewiele nowego wnosi do literatury science fiction.

„Zarówno uwsteczniła w rozwoju kolonie inoplanetarna Ziemia — pisze Stanisław Lem w drugim tomie „Fantastyki i futurologii” — jak społeczności zżyzne z istot ludźmi nie będący Science Fiction chętnie i często przedstawia (...), w opar-

daetwa i nieprawdopodobieństwa, to w dziedzinie konstruowania modelu społeczeństwa przyszłości science fiction jest w zasadzie bezradne. Są autorzy, którzy niewątpliwie troszczą się o techniczne prawdopodobieństwo, a za pióro — czy raczej maszynę do pisania — chwytają też i ludzie nauki i takie utwory science fiction czytają z prawdziwą przyjemnością, to jednak większość traktują technikę, jako wzmacniacz zła społecznego, która ułatwia niejako wyolbrzymienie wszystkich ujemnych cech współczesności. Dotyczy to przede wszystkim literatury science fiction pochodzenia zachodniego.

Science fiction wysyłając ludzi w Kosmos każe im spotykać bądź to planety zorganizowane na zasadach

chwałę ludzkich starań, szukający we współczesności tych elementów, które pozwalają patrzeć z nadzieją w przyszłość, rysując ją jaśniejszymi, choć nie zawsze należytymi barwami. Pokazując nawet społeczeństwa wymagających planet, odwołując się do historii naszej planety, autorzy utworów science fiction głoszą pochwałę ludzkości, wiarę w człowieka i jego poczynania. Sądzę, że warto czytać utwory fantastyczne i warto je analizować, bo jest to również twór naszej współczesności, odbijający być może niekiedy zbyt jaskrawo sprzeczności i niedostatki współczesności Ziemi — planety ludzi.

EWA BEATA KARPINOWICZ



mój świat nie ma dla mnie
pięciu minut czasu

wiesz (mówię)
pojutrze są moje urodziny
kończę dwadzieścia pięć lat

wszystkiego najlepszego powiada
i skręca w prawo

gonię go
sluchaj (mówię)

ile (pyta)
co ile
pożyczyć (wyjaśnia)
ach nie dziękuję nie
(wołam)
(krzyczę)
dziękuję dziękuję
(wrzeszczę)
nie NIE
(wydzieram się)
(ujadam)

ale on (nawet na drugim brzegu)
nie słyszy

natychmiast usypia
(z reguły przy drugiej kanapce)
(z pierwszą w zębach)
i nie słyszy nie widzi jak tańczę
na grobie mojego świata

gonię go
sluchaj (mówię)

(sluchaj:) to się źle skończy
może by ustanowić dzień ochrony
poetów

zawsze byłaś wariatka powiada
i skręca w lewo
wprost pod koła autobusu ce (bis)

parę miesięcy później
zwracam mu dwadzieścia pięć lat

ale on (nawet na pierwszym brzegu)
nie słyszy

(natychmiast usypia)

gonię go
sluchaj (milczę)

(sluchaj:) tańczę

22.12.1973.



niepotrzebnie
biorę do ręki grzebień
: nagle wypadają mi włosy
(wszystkie włosy)
(tego nie da się z niczym porównać)

niepotrzebnie
potworny grymas wypacza mi twarz
: twarz odpada ode mnie jak (

(tego nie da się z niczym porównać)
i widzę jak toczy się niczym:
wzdłuż niepotrzebnych krajobrazów
skaz pasji pożarów cięży

niepotrzebnie się zadłużam
: moje potrzeby obrastają niespełnieniem
braki drżą mnie głębiej
(niżej?) pewniej
(jawniej?)
: nie odrobuję spraw morza
(ziemi?)
miłości
(tym bardziej miłości)
niczym

(a co dopiero —

niepotrzebnie
nagaduję (odgaduję?) przemyślam
(przeuczam?) rozpisuję (opisuję?)
wyrastam —
dopóki umieram jestem jak (

(tego nie da się z niczym porównać)

28.04.1974.

Nie będę tutaj wspominał redakcji przedwojennej, choć parę z nich („Kurier Wileński”, „Po prostu”, „Kurier Powszechny”) zdążyłem dość dobrze poznać i temat to kuszący również z tego powodu, że skupiało się w nich życie polemiczne i towarzyskie — jeśli to były gazety, życie tego rodzaju często przechylało się i za północ. Nie miały one nic wspólnego ze źle funkcjonującymi urzędami, w których panuje nuda, „odwalanie kawalków” i wszędzie czuć linoleum, nawet gdy go nie ma w materialnej postaci.

Ale i te redakcje, o których chce napisać — działały albo w czasie wojny czyli w sytuacji szczególnej, lub po wojnie, więc jeszcze żywe w nich były wcześniejsze tradycje, oby-

czaje, improwizacyjny niejako styl pracy.

Nad Oką III DP im. Romualda Trauguttia miała swoje piśmiennictwo „Na Zachód”. Ukazywało się niezbyt regularnie w postaci arkusika niedużego formatu. Polowa drukarenka, zespół złożony z paru osób, oczywiście wojskowych. Red. naczelny: J. Baumritter, a poza tym: J. Jurkiewicz, St. Matuszewski, późniejszy minister od propagandy. Głównym tematem była walka, szkolenie bojowe. Mając inne obowiązki, byłem jedynie „dochodzącym” współpracownikiem. Wydrukowałem w gazecie parę wierszy, felietonów. Jaka szkoda, że w od lat nie uporządkowanych stertach moich papierzyków nie mogę odszukać przynajmniej jednego z tych dziś rozrzuconych budzących arkusików, mimo iż najprawdopodobniej gdzieś się one w nich złośliwie ukrywają. Pamiętam jednak, że interwencyjne felietoniki podpisywałem pseudonimem Onufry Oczko.

W tej redakcji pachniało, jak się łatwo domyślić, rzemiennymi pasami koalicyjnymi. Dywizja śpiesznie się formowała, pasy były niedawno fasonowane.

Potem zostałem odkomenderowany do Moskwy. Tam znajdował się Zarząd Główny Związku Patriotów Polskich z Wandą Wasilewską na czele, tam mieściły się wszystkie jego agendy, wydawnictwo ZPP: skromne, ale jakże wtedy nieocenione, tomiki Prusa, Konopnickiej, Tuwima, Ważyka, Pasternaka, antologia polskiej poezji wojennej docierały do wojska i do Polonii cywilnej: I: Czytanka polskiej tygodnika „Wolna Polska” i dwutygodnika „Wolne Wiedokregi”, z dodatkiem dla dzieci „Płomyczek”.



Reprodukcja „małej” Rzeczypospolitej dla ziem jeszcze okupowanych.

Znalazłem się w „Nowych Wiedokregach” na etacie adiutatora, aczkolwiek w wielu wypadkach nie byłem pewny swej polszczyzny literackiej. Całe szczęście, że nie uznawano i tutaj nowej pisowni, wprowadzonej bodajże w 1936 roku. (Nie uznawano jej i ja jako student, więc do dziś mam kłopoty z tym co pisze się łącznie, co oddzielnie, tym bardziej, iż to się ciągle zmienia. W dodatku ta „nowa pisownia” pozbawiła nasz język pewnych pełnych rymów, np. typu zaimek niemi — ziemi, chociaż nasz język pod tym względem, w porównaniu z niektórymi innymi słowiańskimi — „słowiańskimi” — i tak jest cokolwiek uboższy).

Właściwym kierownikiem pisma był Jerzy Pański, znany tłumacz z francuskiego i rosyjskiego, chociaż czuwał nad ogólnym kierunkiem: Wanda Wasilewska i Jerzy Borejsza,

Pracy nie miałem zbyt wiele, więcej przeto pisałem niż adiuutowałem. Opracowywałem relacje z obozów hitlerowskich, które nieznanymi mi kanałami docierały jakoś aż tutaj, pisałem recenzje, z szacunkiem wczytywałem się w konspiracyjne druki z kraju, a w hotelu pisałem nostalgiczne wiersze.

Hotel — gostinica „Siewiernaja” — brzmiał poważnie, ale w pokoju mieszkało nas aż sześciu, gostinicy nie ogrzewano, przecież to rok 1944.

Najmilej rysuje mi się w pamięci drobna, siwa moskiewska Polka, p. Helena Korostelowa, którą martwił każdy językowy błąd, cieszył każdy przysłany przez poetów wiersz, każdy bardziej udany artykuł czy felieton.

Nad stroną graficzną pisma czuwał znany grafik, Mieczysław Berman, pogodny grubasek. W „Wolnej Polsce” stale zamieszczał swoje satyryczne rysunki „szpilkiwiec”, ciche i niesmiały Zenon Wasilewski, który po wojnie osiadł w Łodzi i tu zmarł, zajmował się z pasją zwłaszcza ro-

skromną zasługę. Niestety, zapomniał o tej tradycji...

Aż wreszcie dla nas, Polaków, nastąpiły wydarzenia szczególnie doniosłe, budzące największe zainteresowanie, nadzieje, rozmowy i spory. Po jakimś czasie, pewnego ranka odlatujemy „douglasem” z podmoskiewskiego lotniska. Podniecenie i radość. Na pokładzie znajduje się około 25 osób, znam tylko naszą parosobową grupkę z Borejszą na czele, początkowo zespół pierwszej gazety na wyzwolonych terenach, „Rzeczypospolitej”.

Zapewne ze względu na bezpieczeństwo, przecież to samolot pasażerski, lecimy jakoś okólnie. Pierwsze lądowanie gdzieś pod Kijowem, w dodatku — o dziwo — jest bufet. O, dziwo, z wodką. I jeszcze jedno dziwo: bufetowe mówią najczystsza polszczyzną. Jak nie wypić paru kieliszków z Anatolem Mikułką! (Potem w samolocie nieco tego pożałowałem.) Co pewien czas lądujemy na jakichś zamaskowanych lotniskach, wylatuje

JAN HUSZCZA

NAD OKĄ I W LUBLINIE

DZIENNIKARKA (I)

bieniem filmów dla dzieci. Kto wie, że to nie on był twórcą pierwszych filmów, pamiętam jeden taki o smuku wawelskim.

W którejś z bibliotek moskiewskich zapoznałem się z poezją Chlebnikowa, genialnego futurysty rosyjskiego, do którego i teraz często powracam. Na oczekiwaniu przetłumaczyłem dla siebie jego wiersz o głodzie, który jeszcze niedawno był i moim ciężkim doświadczeniem. Wiersz pozornie baśniowy, w swojej zaś istocie głęboko prawdziwy.

Życie Moskwy owego czasu można określić jako surowe, zatroskane i pracowite, wojenne, mimo iż balony zaporowe wisiały nisko na wieży nad placami czy skwerami, nie były właściwie już potrzebne. Muzea były nieczynne, lecz grały teatry, chodziło się do cyrku przy Trubnej ploszczadi, do kin.

Z kin korzystali chętnie wojskowi, których miejsce pobytu musiało być jednak na wszelki wypadek przelozonym znane, dlatego w ciemnej sali słyszało się co jakiś czas charakterystyczne wezwania: „Lejtenant (... kapitan... major...) taki to taki (nazwisko)... k wychodu! Nikomu to nie przeszkadzało, żalowało się tylko, że ktoś musi przerwać oglądanie filmu w najciekawszym momencie. Podobnie było potem w kinach lubelskich, z tą jedynie różnicą, że wezwania rozbrzmiewały także i po polsku.

Na chodnikach pełno było umiędziarowanych mężczyzn lub mężczyzn w szynelach bez naramienników — zdemobilizowanych inwalidów. Kwitły karcelaki, bazyry żywnościowe.

Co jakiś czas rozbrzmiewały artyleryjskie saluty, wieszające kolejne sukcesy — świeżo zdobytych miast radzieckich. W związku z salutami przypomina mi się pewien pan, którego widocznym dopiero sprowadzono do pracy w rozbudowującym się aparacie ZPP. Był czarny wieczór, przybiegł do naszego hotelowego pokoju w popłochu, o czym świadczyło prócz głosu i to, że był tylko w kószuli i w kałesonach, pytając o schron. Nawet nie przyszło nam do głowy, żeby z niego klepsko zakpić (czyniliśmy to przy późniejszych spotkaniach), wyjaśnił mi, że to kolejny zwycięski salut, zaś obok naszego hotelu znajduje się właśnie jedna z baterii do tego przeznaczonych. (W zagajniku „Marina roszeza”.)

Z lektur polskich szczególnie wtedy mi odpowiadał tomik skamandryty, Stanisława Balińskiego: „Wielka podróż”. Napisałem o nim w „Wiedokregach” duży artykuł, w którym m. in. czytam:

„Tytuł książki, jego symbolikę nie trudno odczytać. Wielka podróż można najłatwiej wytłumaczyć geograficznie. Robi to sam autor, gdy przed częścią pierwszą poezji wymienia: Warszawa — Krzemieniec — Rzym — Paryż — Angers — Libourne — brzoza Atlantyku — Londyn. To etapy geograficzne tułaczki poety.

Trudniej mówić o etapach jego duchowej tułaczki, o owocach tej tułaczki, ale przecież z nich ta książka.

Książka zrodziła tęsknotę. Tęsknota z jednej strony może być czymś niebezpiecznym. A to w wypadku, gdy poclaza za sobą załamanie się wewnętrzne, gdy wynika z podłoża niemocy i negacji.

Tęsknota może być zdobywcza, Tęsknota, rodząca dążenie do osiągnięcia przedmiotu tej tęsknoty, w tym wypadku do osiągnięcia odczynu.

Meskość tęsknoty St. Balińskiego nie boi się wcale prześladowców chwili zwątpienia, kiedy to „wchudle rece szukają w ciemności drugiego już tej nocy proszka wrona”. Śmiała prawda o tęsknocie we wszystkich jej przejawach, a więc i śmiałość, świadczy właśnie o mocy tej tęsknoty, o pierwotnych afirmacjach w niej zawartych...”

Ech, wielosłowie!

Potem w Łodzi, za czasów założyciela i pierwszego redaktora „Dziennika Łódzkiego”, Anatola Mikułki, przedrukowałem w gazecie w całości poemat z tej książki „Poranek warszawski”. Zajęło to kolumnę. Bardzo dobrze! Drukowanie wierszy w tym piśmie do dziś poczytuję sobie za

zaś myśliwiec, żeby zbadać niebo. Ostatnie lądowanie następuje gdzieś pod Chełmem Lubelskim. Po chwili ogarniam wzrokiem zagon żyta z makami i chabrami, Boże! Jedziemy ciężarówką do tego miasta, znanego mi przedtem z powodu poety i tłumacza K. A. Jaworskiego, redaktora i wydawcy przedwojennej „Kameny”. (Był na miejscu po latach obozu).

W Chełmie i w Lublinie od razu gorączkowa praca. Trzeba wszystko zaczynać od początku, trzeba coś zrobić we wszystkich dziedzinach w zdemastowanym kraju, pozbawionym milionów ludzi, zubożałym doszczętnie.

Kilkusobowy zespół pisze, drukuje, a także kolportuje „Rzeczypospolitą”, pierwszą gazetę, organ PKWN.



Reprodukcja z karty tytułowej moskiewskiego wydania.

Drugi numer tego pisma, które odtąd stało się normalną, czterostrońnicową gazetą, ukazuje się od 4 sierpnia 1944 roku.

„Pierwszy — jak wspomina Anatol Mikułko, ongi, człek w Łodzi dość popularny — został wydany po drodze (w Chełmie), ale skromny, mały, niepozorny, jakby się nie liczył. Odtąd praca poszła normalnym trybem, to znaczy pracy było nienormalnie dużo...”

Od siebie muszę dodać, iż moja praca w „Rzeczypospolitej” zaczęła się od drugiego numeru, do którego materiały zbierałem już w Chełmie.

Potem, jak to u nas, pism drukarskiej, szuka się papieru — pomaga wojsko, pomaga Moskwa, sama zresztą borykająca się z trudnościami. I mimo to w różnych odstępach czasu zaczynają się ukazywać „Głos Ludu” (organ PPR), „Robotnik” (organ PPS), „Polska Zbrojna”, „Zielony Sztandar”, „Gazeta Lubelska”.

Rozpoczyna swoje od początku interesujące życie pierwszy tygodnik literacki „Odrodzenie” pod redakcją sprowadzonego przez Jerzego Borejszę ze Lwowa szczególnie talentowanego redaktora (redaktor to talent!), Karola Kuryluka. Zdany właściwie wyłącznie na siebie, Leon Pasternak wydaje satyrycznego „Stańczyka”, ba, ujrzała światło dzienne dziwna „Gontyna” na wyjątkowo, dobrym papierze.

I należy wymienić pierwsze cztery książki poetyckie, każda w ilości trzech tysięcy egzemplarzy, serię wydana w Zamościu. Skromnie, ale w tak krótkim czasie, że dziś poeci mogą o czynić takim tylko marzyć. Są to: Przybysia „Póki my żyjemy”, Jastruna „Godzina strzeżona”, Ważyka „Serce granatu”, Putramenta „Wojna i wiosna”. Już same tytuły tych na ogół doskonałych książeczek mówią o ich zawartości.

3 września odbywa się zjazd Zw. Zawodowego Literatów Polskich.

Gdy to piszę, leży przede mną zaproszenie:

„W dniach 3 i 4 września br. w trzydziestu rocznicę pierwszego Zjazdu Literatów Polskich odbędzie się w Lublinie uroczysta sesja pisarzy...”

e.d.n.

XV Festiwal Polskich Sztuk Współczesnych we Wrocławiu odbywany w roku 30-lecia PRL stał się — co zozumiałe — okazją nie tylko do corocznego przeglądu naszego aktualnego dorobku dramaturgicznego i teatralnego, ale przede wszystkim upoważnił do szerszych rozważań i wniosków na temat drogi, jaką w ostatnich trzech dziesiątkach lat przemierzył polski teatr. W okresie Festiwalu odbyto sesję nt. „Dramat i teatr polski w 30-leciu PRL”, podczas której wybitni twórcy, teoretycy i krytycy teatralni (m. in.: Bohdan Korzeniewski, Jerzy Krasowski, Stanisław Marczak-Oborski, Jerzy Koenig, Andrzej Falkiewicz, Witold Filler, Józef Kelera) próbowali — mimo kłopotów, jakie stwarza brak większej perspektywy historycznej — określić cechy współczesnego teatru polskiego.

Jedną z nich jest bez wątpienia nasza wysoka pozycja w teatrze światowym. Przez całe wieki naśladowaliśmy lub doganiałliśmy teatr innych narodów. Obecnie możemy poszczycić się dramaturgią na poziomie europejskim (Gombrowicz, Witkacy, Mrożek) oraz twórcami wnoszącymi nowe wartości do światowego teatru (Grotowski, Szajna, Swinarski, Jarocki). Współczesny polski teatr charakteryzuje się poza tym wielką różnorodnością formy. Wszak w pełni dostępne stały się od dłuższego czasu wszystkie dokonania kolejnych reform i awangard teatralnych. Czerpie się z nich teraz obficie i do woli, często w poczuciu własnego nowatorstwa, co ułatwia cząstkowe zalety przyswojenie przez dawniejszy teatr polski zdobyczy własnego czasu. Również się dotąd wciąż tradycja, ideaowa i artystyczna, otworzyła się na powrót używając całego bogactwa. Z jej odzyskania wynikają zarówno nowe zadania i obowiązki jak i wielorakie obciążenia. Szlachetne skłonności literatury i sztuki do sprawowania „rzędu dusz” oraz przyzwyczajenia wywodzące się z trudnych czasów niewoli, do przemawiania słuszymi i nie wykształciliśmy własnych wzorów. Jeszcze przed wojną najświetlejsi ludzie polskiego teatru podjęli walkę z tym repertuarem w imię oswobodzenia sztuki teatralnej z praw komercyjalizacji, zaś po wyzwoleniu uznano go za spadek po mieszczaństwie, opóźniający budowę socjalizmu. Na Festiwalu ten typ dramatu reprezentował utwór Edmunda Nizurkiego „W potrzasku” (debiut dramaturgiczny), nieudolnie wystawiony przez wrocławski Teatr Współczesny.

Jak w świetle tych spostrzeżeń zaprezentowały się teatry występujące w tym roku we Wrocławiu? XV Festiwal Polskich Sztuk Współczesnych dał świadectwo prawdziwego obrazu naszej sceny, był pouczającą lekcją. Dowiódł, już nie po raz pierwszy, że najstarszym ogniwem polskiego repertuaru jest tzw. dramat użytkowy, rejestrujący codzienne sprawy i emocje. Nigdy nie mieliśmy zresztą w tym względzie większych powodów do dumy. Posługiwaliśmy się najczęściej przekładami sztuk granych na bulwarach paryskich i nie wykształciliśmy własnych wzorów. Jeszcze przed wojną najświetlejsi ludzie polskiego teatru podjęli walkę z tym repertuarem w imię oswobodzenia sztuki teatralnej z praw komercyjalizacji, zaś po wyzwoleniu uznano go za spadek po mieszczaństwie, opóźniający budowę socjalizmu. Na Festiwalu ten typ dramatu reprezentował utwór Edmunda Nizurkiego „W potrzasku” (debiut dramaturgiczny), nieudolnie wystawiony przez wrocławski Teatr Współczesny.

Inne słabości ujawnił ten sam teatr pokazując „Króla i aktora” Romana Brandstaettera w reż. Józefa Pary, dekoracjach Aleksandra Jędrzejewskiego i kostiumach Jadwigi Przeradzkiej. W tym wypadku okazało się raz jeszcze

jak martwe może być w teatrze puste deklamatorstwo i nadmierne dydaktyzm, uprawiane zresztą przez autora. Dotkliwsze jednak od tych dwóch, w końcu marginesowych przypadków, stały się inne doświadczenia. Otóż we Wrocławiu bardzo zawiody renomowane teatry i renomowani twórcy: Teatr Stary z Krakowa („Pierwszy dzień wolności” Leona Kruczkowskiego w reż. Marka Okopińskiego i scenografii Krystyny Zachwatowicz), Teatr im. J. Słowackiego z Krakowa („Dwa teatry” Jerzego Szaniawskiego w reż. Krystyny Skuszanki i scenografii Władysława Wigury), Teatr Polski z Warszawy („Życie jawą” Ernesta Brylla w reż. Augusta Kowalczyka i scenografii Marka Lewandowskiego), Teatr im. S. Ja-

DOBRA MŁODOŚĆ WROCLAWSKIEGO FESTIWALU

racza z Łodzi („Przepis ze starej kroniki” Jerzego Broszkiewicza w reż. Jana Maciejewskiego i scen. Krystyny Zachwatowicz), Teatr Polski z Wrocławia („Papiół i diament” Jerzego Andrzejewskiego w reż. Krystyny Zachwatowicz) oraz scenografii Marcina Wenzla i Mieczysława Wiśniewskiego).

Z tej grupy należy wydzielić przedstawienie Marka Okopińskiego, zrealizowane w stylu tradycyjnego realizmu, w którym jednak całkowicie zawiódło aktorstwo, przez co utwór Kruczkowskiego stał się pustą i brzmiał jak zbiór nieudolnie sformułowanych aforyzmów na temat wolności. Natomiast

pozostałe prace reżyserskie odznaczały się brakiem smaku i dyscypliny, nieodpowiedzialnością artystyczną i intelektualną, nieporadnością warsztatową mimo częstokroć wielkiego bogactwa użytych środków. Tak oto, kiedy wszystko jest dostępne, kiedy można korzystać z ogromnego zasobu możliwości, cechami najbardziej pożądanymi w sztuce okazują się dojrzałość, prostota i smak. Oglądając wspomniane przedstawienia chciało się raz po raz — trawestując tytuł sztuki Różewicza — wykrzykiwać: stara reżyseria nie nie wysiaduje!

Na tym tle niezwykle korzystnie — zbierając większość nagród — wypadali debiutanci, słuchacze Wydziału Reżyserii warszawskiej PWST i młodzi scenografowie: Janusz Nyczak i Wacław Kula, autorzy scenicznej wersji powieści Tadeusza Nowaka „A jak królem, a jak katem będziesz” (Teatr Nowy w Poznaniu), Ryszard Majer i Urszula Kenar, realizatorzy „Teatru osobnego” Mirona Białoszewskiego (Teatr Wybrzeże — Teatr Kameralny w Sopocie) oraz Grzegorz Mrówczyński i Marian Iwanowicz, twórcy scenicznej adaptacji „Konopielki” Edwarda Redlińskiego (Teatr im. C. Norwida w Jeleniej Górze).

Ponieważ od dłuższego czasu, od wejścia do teatru generacji określonej pod koniec lat sześćdziesiątych mianem „młodzi, zdolni” (Jerzy Grzegorzewski, Maciej Prus, Helmut Kajzar i inni), nie zwrócili na siebie uwagi najmłodszej adepcji reżyserii, więc także gromadnie zwycięstwo studentów Wydziału Reżyserkiego budzi zrozumiałą ciekawość i prowokuje do sięgania w przyszłość.

Oddzielnego, choćby najkrótszego omówienia wymaga „Kartoteka” Tadeusza Różewicza w reż. Tadeusza Minca i scenografii Andrzeja Sadowskiego (Teatr Narodowy w Warszawie — Teatr Mały) i „Ślub” Witolda Gombrowicza w reż. Jerzego Jarockiego i scenografii Krystyny Zachwatowicz (Teatr Dramatyczny w Warszawie). Oba te spektakle cieszą się zasłużoną renomą wśród publiczności i krytyki, więc też przyjechały na Festiwal — co się w pełni potwierdziło — jako jego zdecydowani faworyci. Przedstawienie Minca dowiodło na nowo, że „Kartoteka” jest jednym z nielicznych współczesnych dramatów polskich, który zwycięsko przetrwał próbę czasu, dając zarazem żywe świadectwo naszych narodowych zmagani. Warszawska „Kartoteka” rozgrywa się wśród wzdów oraz na łóżku ustawionym pośrodku sali. Jest ono, oczywiście, królestwem Bohatera (gra go z wielkim umiarem Wojciech Siemion), którego część zwierzeń i przywidzeń odwarza taśma magnetofonowa (Bohater jest wówczas ukryty pod przesłaniem). Przedstawienie charakteryzuje się jednak nierównym poziomem aktorskim (coraz to częstsze w Teatrze Narodowym), co ujawniło się głównie w niedość konsekwentnym prowadzeniu Chóru Starców. Chórzy reszta od dawna przysparzają kłopotów inscenizatorom, więc niepowodzenie Minca można po części usprawiedliwić.

Szkoda jednak, że tak naprawdę tylko jedna aktorka zwróciła uwagę swymi umiejętnościami: Bohdana Majda

w roli Tlustej Kobiety, nie bojąca się deformacji i brzydoty.

Wielkim wydarzeniem Festiwalu był „Ślub” Gombrowicza, pierwsza w Polsce realizacja tego głośnego już w świecie dramatu. Jego reżyser, Jerzy Jarocki, nie zdradził i tym razem zasad, jakich przestrzegał w swoich wcześniejszych przedstawieniach, a więc rygorystycznej dyscypliny i precyzji w użyciu różnorodnych środków scenicznych oraz zasady mechanizacji działań aktorskich. O ile jednak część pierwsza spektaklu potwierdziła na ogół słuszność tej drogi, to w części drugiej mniej jasno tłumaczyły się na

przykład akrobacje gimnastyczno-seksualne w wykonaniu Piotra Fronczewskiego (Henryk), Ryszarda Hanin (Matka) i Józefa Nowaka (Ojciec). Największe zastrzeżenia może jednak wzbudzić kształt plastyczny „Ślubu”. Krystyna Zachwatowicz odziała wszystkie postaci ze snu Henryka w strzępy żołnierskich mundurów. Ojcu przydała garb, a Matce ogromny biustonosz. „Ślub” rozgrywany w szmatach traci po prostu swoją niezwykłość i ostrość. Podoone uwagi wnoszone już wielokrotnie przy realizacji sztuk Witkacego lub Ionesco, jeśli działy się one w odczłowieckiej scenie. Natomiast wielki sukces odniósł Zbigniew Zapasiewicz (Pijak), zachwycając m. in. techniką i bogactwem wymowy. Jedno słowo „palić” — niebagatelne przecię w tym dramacie — miało w jego wykonaniu co najmniej z dziesięć wariantów fonetycznych.

Wrocławski Festiwal ma wśród pozostałych przeglądów teatralnych w Polsce najwyższą rangę. To na jego podstawie feruje się sady i oceny o stanie współczesnego teatru polskiego. Tymczasem warto zdać sobie sprawę z pewnego paradoksu. Otóż we Wrocławiu pokazuje się jedynie realizacje współczesnego dramatu polskiego. Współczesnego — to znaczy powstałego po drugiej wojnie światowej. Nie zawsze na wrocławski Festiwal trafiają utwory najnowsze. Ale nie to jest nawet najważniejsze. Wiadomo przecież, że kierunki poszukiwań współczesnego teatru polskiego wyznacza dramaturgia dawniejsza, głównie romantyczna i neoromantyczna. Romantyzm w naszej kulturze teatralnej jest ciągle najwyższym źródłem awangardy. Przy ograniczeniu tematycznym wrocławskiego Festiwalu nie ma w nim miejsca — by poprzestać na ostatnich dokonaniach — na przykład na „Dziady” i „Wyzwolenie” w reż. Konrada Swinarskiego lub „Noc listopadową” w reż. Andrzeja Wajdy. Można się one znaleźć na Warszawskich Spotkaniach Teatralnych, ale te z kolei eliminują z swych szeregów teatry stołeczne. Tak oto — przy uzasadnionym narzekaniu na wielość festiwalu — potrzebna jest jeszcze impreza, która w sposób możliwie pełny dałaby obraz aktualnego stanu teatru w Polsce. W obecnej sytuacji opinie formułowane we Wrocławiu silną rzeczą odnoszą się ledwie do części teatralnych zjawisk. Stąd i ostatnie spotkanie teatru nad Odrą nie mogło wyrazić tego co naprawdę stało się w dramacie polskim, i w jego wyrazie teatralnym.

ANNA KULIGOWSKA



NOWE „WYZWOLENIE”

Stary Teatr im. Heleny Modrzejewskiej w Krakowie — laureat nagrody Redakcji „Polityki”: „Drożdże 1974” „za nowatorską działalność teatralną, która wzbudziła szeroki odzew społeczny” — uchodził od paru lat za pierwszą scenę Rzeczypospolitej. Przypomnijmy tu spektakle teatru, które na przestrzeni ostatnich czterech lat wyznaczały główną linię uderzenia: — w reżyserii Jarockiego — „Szewcy” (1971) i „Matka” (1972) Witkiewicza oraz „Proces” wg Kafki (1973); — w reżyserii Wajdy — „Biesy” Dostojewskiego (1971) i „Noc Listopadowa” Wyspiańskiego (1974); — w reżyserii Swinarskiego — „Sen nocy letniej” (1970) i „Wszystko dobre co się dobrze kończy” (1971) Szekspira oraz „Dziady” Mickiewicza (1973). I oto w końcu mała złota serca Staro Teatru wydłuża się o kolejną wybitną premierę, o której już głośno — o „Wyzwolenie” Wyspiańskiego w reżyserii Konrada Swinarskiego. Po „Dziadach” — „Wyzwolenie”, logiczny ciąg myślowy, skoro dramat Wyspiańskiego miał być repliką na misterium narodowe wielkiego Adama. Bohater „Dziadów” Konrad jest przecież bohaterem „Wyzwolenia”. Jeśli dodamy, że Konrada w „Dziadach” Swinarskie-

go i w jego wyzwoleniu gra ten sam aktor Jerzy Trela, wówczas krąg konsekwentnie się zamyka, tworzy się pewna intencjonalna całość. Nie znaczy to, że oba przedstawienia są do siebie podobne, że do obu drogocennych skatuli użył reżyser tego samego klucza. To byłoby zgoda, niewątpliwie, gdyż Wyspiański w przeciwieństwie do Mickiewicza miał wyobraźnię sceniczną bardzo precyzyjną i konkretną. To co u Mickiewicza jest mgławicą, zwichrzaniem, nieokreśloną grą fantazji, u Wyspiańskiego nabiera cech porządku (choć nie pedanterii!), poddane jest ścisłym rygorom języka scenicznego. Dlatego właśnie „Dziady” trzeba inscenizować, a „Wyzwolenie” wysiarzyć grać. Niezborne, choć przepojone geniuszem strofy Mickiewicza potrzebują współdziałania twórcy teatralnego, który narzuciłby im dyscyplinę sceny, przykroził na siły nośne teatru. Wyspiański zaś sam przykrawał swój dramat na miarę teatru więcej: na miarę konkretnego teatru.

Gdzieś przed siódmą wieczorem Kościół kończył niesporem, bram teatru ledwo uchylono...

„brzmia pierwsze słowa „Wyzwolenia” — didaskalia autorskie wierszem pisane. O jak! to kościół i teatr chodzą? Oczywiście o kościół św. Grzegorza na placu św. Ducha, którego niewielka budowla niemal przylgnęła do potężnego korpusu Teatru im. Słowackiego. Całość akcji dzieje się, jak to sam autor wyjaśnia, „na scenie Teatru Krakowskiego” Ta adnotacja Wyspiań-

skiego potraktowana została przez Swinarskiego z całą powagą. Konrad aranżuje swoje przedstawienie w konkretnym teatrze i w konkretnym czasie (Rzecz napisana w roku 1902). Nieprzypadkiem na afiszu Staro Teatru te informacje odautorskie przyjęto jako podtytuł „Wyzwolenia”. No, tak! Ale czy współczesny artysta teatru, jakim jest Swinarski, artysta nie zainteresowany historyczną ścisłością ani muzealną rekonstrukcją, może utrzymać się w ramach starej konwencji, poddać się jej posłuszeństwu, latwo i wprost? Odpowiedź jest oczywista: nie! Stał już jeden krok, dzielący nas od techniki persyflażu. Naśladowy przeszłość, starajmy się zgłębić jej tajniki aż do dna, wejźmy niejako w jej skórkę, ale wszystko po to, by później to co ładne, uczynić zbyt ładnym, co dobre przedobrzyć, co charakterystyczne przerysować!

Kiedy na scenę spuszcza się wypracowana w każdym szczególe pliska kopia sarkofagu św. Stanisława ze srebrzystej blachy, kiedy Anna Polony z emfazą (tak żył sobie Wyspiański!) recytować początny tekst: „Niebianka zastąpiam od tych brama...”, kiedy wreszcie po I akcie opuszcza się ni to baldachim, ni to markiza, ukazując na niewidocznym dotąd swej stronie replikę kurtyny Henryka Siemradzkiego — wówczas sprawa staje się jasna. Kropka nad „i” postawiona. Swinarski nakazał aktorom grać „Wyzwolenie” tak, jak je mógł sobie wyobrazić Wyspiański na scenie Teatru Krakowskiego w progę XX wieku. Ale te stare formy teatralne jak za dotknięciem lasceczki Prospera zamieniają

się dzięki procesowi intelektualnemu współczesnego artysty w nową jakość, w nową treść obciążoną w starym kostiumie i starą scenografią. Przerysowanie persyflażowe wydobywają na wierzch z tekstu „Wyzwolenia” to co w nim mętne, bełkotliwe.

Swinarski umieszcza Konrada w konkretnym kontekście politycznym i ideowym Galicji z okresu, w którym przyszło żyć i działać Wyspiańskiemu. Rozmowę z Maskami prowadzi Konrad z woli pisarza arbitralnie, przebijając kwestie rozmówców, nie daje im rozwinąć swych racji. U Swinarskiego rzecz ma się zgoła inaczej.

Droga szczegółowych analiz reżyser dochodzi do rozszyfrowania, czyich poglądów nosicielem jest każda z Masek. Ustalwszy to, każe aktorom charakteryzować się na podobieństwo autentycznych postaci historycznych. W korowodzie Masek pojawia się więc Ignacy Daszyński, krytyk literacki Wilhelm Feldman, wódz „Stanczyków” — Stanisław hr. Tarnowski, nawet starszyzna Francuza Józef w białym mundurze i z słowymi bokobrodami.

Tak konkretne potraktowanie Masek nie pozwala Konradowi odnieść łatwych zwycięstw werbalnych. Bohater płacze się w swoim hurrapatriotyzmie, zatrącającym ideologią chadecką. Nie dziwne, że Maski początną traktowają go jak chorego na umyśle i stopniowo przemieniają się w pielegniarzy szpitalnych.

A kim są w nowym przedstawieniu krakowskim Harpie, które na końcu dramatu osaczają Konrada i wydzierają mu oczy? Chór ich stanowią robotnicy, brygadziści sceny, którzy wkroczyli na odleśnięcie aktorów, by pozbyć zwykłe porządki. To oni wnoszą z sobą element rozumnego sądu nad szamoczącym się beźsilnie bohaterem, który jak Edyp wymierza sobie karę, sam się oślepia.

„Wyzwolenie” Swinarskiego jest przedstawieniem mądrym, jednorodnym w potraktowaniu materiału dramatycznego, w krytycznym a jednocześnie pełnym szacunku w stosunku do tekstu. Aktorzy prowadzeni pewną ręką przez reżysera nie zamazują sensu słów, lecz przysądają im nowych znaczeń, poddają odkrywczej interpretacji. Jerzy Trela, który zwrócił na siebie uwagę jako Konrad w „Dziadach”,



Fot. W. Plewiński

w „Wyzwoleniu” błysnął jeszcze pełniejszą gamą swego talentu aktorskiego. Wyraźnie dojrzał od czasu „Dziadów”.

Nowa inscenizacja „Wyzwolenia” jest konsekwentną dla Swinarskiego propozycją nowoczesnego teatru, w którym „myślenie obrazami” nie wylacza wysokiej rangi słowa.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

Stanisław Wyspiański: „Wyzwolenie. Rzecz napisana w roku 1902, dzieło się na scenie Teatru Krakowskiego” — dramat w 3 aktach; reżyseria — Konrad Swinarski; scenografia — Kazimierz Wiśniewski; muzyka — Zygmunt Konieczny; ruch sceniczny — Jacek Tomasiński; sarkofag św. Stanisława — „Golgote” i „Madonny” wykonał Tadeusz Rybski; Stary Teatr w Krakowie — premiera 30.V.74.

Zacznijmy od odpowiedzi na pytanie zasadnicze: co determinuje perspektywę rozwoju kulturalnego Łodzi, jakie uwarunkowania należy brać pod uwagę kreśląc wizję nie tak znow odległej przyszłości? Odpowiedź jest złożona — co najmniej z trzech elementów, również niejednorodnych.

I. DYNAMICZNY CHARAKTER PRZEMIAN SPOŁECZNO-GOSPODARZYCH Łodzi i regionu łódzkiego, na zasadzie sprzężenia zwrotnego, wywołująco będzie na równie szybko rosnące potrzeby kulturalne społeczeństwa. Mimo pewnego automatyzmu działania powyższego układu potrzeby te należy rozwijać i ukierunkowywać zgodnie z interesem społeczeństwa, wykorzystując jednocześnie naturalne dążności ludzkie. Animatorzy życia kulturalnego muszą jednocześnie zadbać o właściwe proporcje między „spontanizmem” a „świadomym” uczestnictwem kulturalnym. (Przez uczestnictwo spontaniczne rozumiemy korzystanie z popularnych, także rozrywkowych form proponowanych przez środki masowego przekazu. Uczestnictwem świadomym, określiłem bezpośrednio przekazywanie treści — w teatrze, na koncercie, w muzeum, na spotkaniu autorskim).

II. MATERIALNA BAZA KULTURY w Łodzi, w porównaniu do innych ośrodków wielkomiejskich, jest niedostateczna. Niedostatki te są różnorodne. Np. większość placówek kulturalnych mieści się w pomieszczeniach adaptowanych, nie dostosowanych do funkcji jakie muszą spełniać. O nierównomiernym rozmieszczeniu instytucji kulturalnej na mapie miasta już wspominałem. Konieczność wyburzeń w ramach przebudowy miasta pogłębia istniejące już dysproporcje. Tak więc perspektywy rozwoju kultury w Łodzi zależą w głównej mierze od ogólnego rozwoju miasta. Infrastruktura kulturalna może powstać

dzielnicy i osiedlu powinny powstać, w odpowiedniej skali, na miarę potrzeb, dzielnicowe i osiedlowe centra kulturalne.

Popatrzymy jakże są propozycje w tym zakresie.

Ogólnomiejskie centrum kultury zostanie zlokalizowane wzdłuż osi: Bałucki Rynek — plac Wolności — Osiedle „Centrum” — plac Niepodległości. Wybuduje się tutaj: nowy gmach Teatru Powszechnego (realizacja w latach 1977—1979) powstanie Galeria pod Arkadami (1975 r.) działać będzie Teatr Nowy, Teatr Wielki, Teatr im. St. Jaracza, Muzeum Historii Włókiennictwa. Powstaną także: Galeria Sztuki (1976—1980) zespół kin festiwalowych (1977—1980) nowy gmach Filharmonii (1976—1980). Wzdłuż ulicy Piotrkowskiej w starą zabudowę zostanie wkomponowanych kilka nowoczesnych kin, które zastąpią obiekty wyburzone.

Ogólnomiejską instytucją będzie również Park Kultury i Wypoczynku „Zdrowie”, mający w założeniu ściśle łączyć funkcje rekreacyjne i kulturalne. Powstanie tutaj Muzeum Sztuki, obiekt zaplanowany z europejskim rozmachem (budowa w latach 1977—1980), Teatr Letni (1977—1979), sale widowiskowe i koncertowe, dwa stałe kina i kino letnie, kompleks urządzeń sportowych, pomieszczenia dla cyrku i wesołego miasteczka.

Jak będzie wyglądało (a raczej funkcjonowało) dzielnicowe czy osiedlowe centrum kultury? Za wcześniej o tym mówić w sposób konkretny, jesteśmy jeszcze na etapie dyskusji, brak jest sprawdzonych w działaniu wzorów. Jedno jest pewne: życie kulturalne mieszkańców dzielnicy czy osiedla musi być wkomponowane w całość życia społecznego. Założenia projektowe winny więc uwzględniać wszystkie jego elementy: organizację pracy i czasu wolnego, poziom wykształcenia i postęp techniczny w rozwój środków przekazu, większą ruchliwość zawodową i społeczną, wspomniane spontaniczne i aktywne uczestnictwo w konsumpcji dóbr kulturalnych.

Oczywiste również wydaje się skojarzenie „usług kulturalnych” z usługami w sensie dosłownym: handlowymi, gastronomicznymi, komunikacyjnymi itd. Dotykamy tu bowiem zagadnienia czasu wolnego, który można z jednej strony formalnie powiększać (wolne soboty), a z drugiej marnotrawić (kolejki w sklepach, deficyt usług specjalistycznych i podstawowych, uciążliwe dojazdy itd.).

Interes społeczny wymaga, żeby przedsięwzięciem urbanistycznym towarzyszyły troski o równomierny, planowy (a więc przy kosztach optymalnych)

JERZY WAWRZAK

MATERIALNA BAZA KULTURY

w odpowiednim wymiarze tylko jako ściśle zespolony element planu urbanistyczno-architektonicznego. Dotyczy to zarówno modernizacji placówek kulturalnych, odtwarzania placówek wyburzanych, jak i budowania nowych. Taki program uwzględniający wzajemne korelacje został opracowany.

III. ŁÓDŹ MA SIĘ STAĆ OŚRODKIEM KULTURY I STOPNIA. Biorąc pod uwagę możliwości i ambicje działaczy i środowisk twórczych — taki postulat trzeba uznać za uzasadniony. Takie też założenia przyjęli autorzy „Prognozy rozwoju kultury polskiej do roku 1990”. Aby więc w przyszłości zapewnić Łodzi nie tylko formalny, ale rzeczywisty status ośrodka I stopnia należy rozwijać obecne i tworzyć nowe instytucje o znaczeniu ponadlokalnym. Już teraz takich instytucji i inicjatyw nam nie brakuje. Muzeum Sztuki, Muzeum Historii Włókiennictwa, Teatr Wielki, a w drugim planie, inicjatyw: Łódzkie Spotkania Baletowe, Ogólnopolski Konkurs Debiutów Choreograficznych, Przegląd Filmów Społeczno-Politycznych, Studenckie Spotkania Teatralne, cykl Triennale, Ogólnopolski Festiwal Poezji i wiele innych.

Lokalizacja placówek kulturalnych na mapie miasta będzie mieć w przyszłości kapitalne znaczenie. Powoduje to z jednej strony rozległość Łodzi, która nie może stać się zlepkiem niespójnych miast-dzielnic. (Mimo ich pewnej autonomizacji i samowystarczalności kulturalnej). Po drugie, w przyszłości Łódź musi przyjąć na siebie zadania integrujące Łódzką Aglomerację Miejską, a więc łączyć, cementować całą urbanizację ŁAM, a jednocześnie promieniować, kształtować i pobudzać wielomilionową społeczność całego makroregionu.

Z mapy przyszłej Łódzkiej Aglomeracji Miejskiej widać, że roli tej nie może wyłącznie spełnić dotychczasowe, tradycyjne centrum. Rozwój komunikacji spowoduje, że obecne dzielnice peryferyjne znajdują się na głównych kierunkach ekspansji miasta: północno-zachodnim (kierunek Aleksandrów) wschodnim (kierunek Koluszki) południowo-zachodnim (kierunek Zduńska Wola). Sygnalizując ten problem trzeba jednocześnie zwrócić uwagę, że w obrębie obecnych granic administracyjnych miasta będą powstawać nowe dzielnice: Teofilów „D” i „E”, Retkinia, Widzew-Wschód. I nie mogą być one budowane na dotychczasowych zasadach: najpierw dzielnica, a potem będziemy się martwić o bazę kulturalną.

Taka praktyka doprowadziła do spiętrzenia trudności, np. w dzielnicach Teofilów i Dąbrowa. Poza siecią bibliotek (dzięki temu, że biblioteki zostały zaliczone do usług podstawowych) trudno mówić nawet o elementarnym zaspokojeniu potrzeb kulturalnych mieszkańców nowych osiedli. Istniejące kluby i świetlice, budowane wg norm i ze środków spółdzielni mieszkaniowych, wypełnić mogą zaledwie część zadań jakie są do zrobienia. Zrozumiałe jest też, że nawet kiedy znajdują się środki po zamknięciu procesu inwestycyjnego, niełatwo je wykorzystywać. (Np. sprawa lokalizacji, kiedy tereny są tak czy inaczej zagospodarowane). Równie ważnym problemem, obok korelacji planów urbanistycznych, jest wcześniejsza kumulacja środków i limitów na budowę obiektów kulturalnych; środków zazwyczaj rozproszonych.

Mówi się — i słusznie — że obecne skoncentrowanie placówek w centrum miasta sprzyja powstawaniu międzyosiedlowych różnic aktywności kulturalnej. Ułatwia to konsumpcję kultury mniejszości, utrudnia większości. Tym bardziej że ta większość nie ma tak wyrobionych nawyków korzystania z istniejących możliwości. Dlatego też, nie negując wyjątkowej roli centrum kultury, którego naturalną lokalizacją jest Śródmieście, przyszłościowy model kultury w skali miasta także winien mieć układ policentryczny tzn. w każdej

rozwoju bazy kultury. Pozwoli to najlepiej wykorzystać środki finansowe i moce przerobowe budownictwa zaangażowanego w przebudowę miasta.

Pierwsze kroki w tym zakresie już zrobiono. Tak można ocenić koncepcję „Centrum”, wg której przewiduje się budowę dwóch kin festiwalowych, Filharmonii oraz Galerii Sztuki w kompleksie handlowo-usługowym, obok domów towarowych. Przy zachowaniu odpowiednich proporcji doświadczenia z „Centrum” mogą być przeniesione do projektowania ośrodków dzielnicowych, mniej może w skali urbanistycznej, a bardziej w konkretnym kształcie architektonicznym. Wspominałem w poprzednim odcinku o dzielnicowym domu kultury przyszłości, miejscu gdzie jest „wszystko”. W najbliższym czasie trzeba będzie już w miarę konkretnie wyjaśnić sobie, co to „wszystko” ma oznaczać.



Materiały przygotowane na Plenum KŁ przez Zespół Kultury Komisji Ideologicznej KŁ, które posłużyły mi za podstawę niniejszego cyklu publikacji, zawierają konkretną listę inwestycyjnych zamierzeń. O wielu z nich wspominałem, nie sposób zresztą cytować tak obszerny dokument. Jedno trzeba wszakże jednoznacznie stwierdzić: suma zamierzeń do roku 1990 jest imponująca. Zamyka się kwotą ok. dwu i pół miliarda złotych. Jest to więc program ogromny, na skalę dotąd w naszym mieście nie spotykaną, wszechstronnie ujmujący potrzeby kulturalne łodzianina dzisiejszego i łodzianina roku 2000. Program niełatwy w samej koncepcji i wykonawstwie (łatwiej wybudować fabrykę za 500 mln niż teatr za 150 mln). Program, którego realizacja pozornie jest dość odległa w czasie, ale to nie okres oczekiwania, lecz przygotowania do utworzenia szerokiego, sprawnego frontu inwestycyjnego. Dotychczasowe sukcesy łódzkiego budownictwa skłaniają do przekonania, że program ten nie jest zbiorem pobożnych życzeń, ale realnych możliwości.

JERZY WAWRZAK



Szanowny Panie Redaktorze! Już jako dziecko odczuwałem wielki respekt wobec kolei. Dworzec ze swoimi tablicami, kasami, peronami robił na mnie zawsze duże wrażenie. Bilet kolejowy, ten kawałek tekturki ścisłałem z czułością i uwielbieniem. Kolejarze byli dla mnie zaraz po księdzu i aptekarzu ludźmi najbardziej wujemniczonymi. Patrzyłem na nich z zadróżką, marząc po cichutku, że jeżeli urosnę, muszę zostać jednym z nich. Najbardziej jednak pragnąłem zostać kolejarzem. Tajemnica semaforów, lamp kolejowych, zwrotnic i nastawnic pociągała mnie bardziej niż tajemnica mszy lub wielkiej mlecznej kuli pana aptekarza.

Sięgam pamięcią tak daleko, Panie Redaktorze, gdyż wierzę, iż doznania z najwcześniejszego dzieciństwa są najszerze.

Potem urosłem i nie zostałem kolejarzem. No i dobrze. Szanowny Panie Redaktorze, bo nie muszę płać ze wstydu. Nie zapadną się pod ziemię, Nie-będę świecił oczami. Jasny piorun mnie nie spali.

Przyznam się szczerze, że „Odgłosy” trochę mnie zgniewały, gdy swego czasu przypieły się jak pijawka do naszego PKP. Nie dlatego zgniewały, bym uważał, że wszystko jest tam cacy-cacy. Sam doświadczyłem na skórze milującego państwowego koleje ich „dobrodziejstw”: brudu, niewygód, niepunktualności (z powodu mrozu, z powodu deszczu, z powodu upału; z byle powodu i bez powodu). „Podziwiam” i „podziwiam” najlepiej zorganizowanych funkcjonariuszy-kolejarzy, którzy z bezwzględną skrupulatnością potrafią wyegzekwować zasłużone i nie zasłużone kary.

Wszakże pomimo tych wszystkich doświadczeń kolej nadal budziła we mnie jakiś mir, stary byk, wchodziłem na peron i czułem ten lekki dreszczyk, i bilet tak samo trzymałem w ręce jak na peronie w Inowrocławiu trzydzieści lat temu, gdy jechałem na wakacje do babci na wieś.

Aż coś we mnie pękło. Roztrzaskało się. Na widok kolejarza dostaje białej gorączki. Pociągu unikam jak diabła święconej wody.

Szanowny Panie Redaktorze! Po tym, może przydługim, lecz koniecznym wstępie wyłuszcze Panu przyeczne tego tragicznego we mnie peknienia, rozłupania się mojego szacunku i respektu dla kolei.

Po tygodniowym pobycie w stolicy Czechosłowacji, Pradze, (piwo zimne! polewka gorąca!). Po dwóch przedstawieniach w gościnnym, zaprzyjaźnionym teatrze S. K. Neumanna aktorzy Państwowego Teatru Powszechnego z okien mknącego w stronę granicy polskiej pociągu posyłają swoim czeskim siostronom i braciom — aktorom trochę już umięczone (piwo zimne! polewka gorąca!), ale najszczersze pocalunki. Pada sakramentalne „wszędzie dobrze, ale najlepiej w domu”. Niektórzy patrzą lakonie na kuszetki, żeby te dwaście godzin podróży jakoś przenoćować, przespać, przekimać. Przechyliłem kieliszek i wdrapałem się na swoje piętko. Długo nie trwało, najwyżej 2 — 4 stacje. Pot kropliasty wystąpił mi na czoło, serce zaczęło człapać jak stara szkapa. Aliści po paru haustach czeskiego powietrza i kieliszczku radzieckiej wódki doszedłem do normy.

Szanowny Panie Redaktorze! Po paru godzinach przywitani nas nasi kolejarze. Może, żeby nie uogólniać, napiszę kolejarz, może dwóch kolejarzy, trzech kolejarzy. Słowem kolejarze nie odłączyli we Wrocławiu wagonu ze składem podążającego do Szczecina i nie dołączyli go do składu udającego się przez Łódź do Warszawy i nim żeśmy się spostrzegli, zamiast w rodzinnej Łodzi obudziliśmy się w Poznaniu. Telefony do Ministerstwa Komunikacji, Przetaczanie, Zwrotnice. Przetaczanie, Zwrotnice. Około 380 km dodatkowych szyn. I wagon-widmo zamiast o godz. szósta z minutami wtacza się około godziny jedenastej na dworzec Łódź-Kaliska. Po 17 godzinach podróży nie wychodzimy, lecz wypadamy z wagonu. Mam piasek w oczach, chce mi się wymiotować, jestem brudny i sponiewierany.

Szanowny Panie Redaktorze! Sądzę, że będę wyraziłem wszystkie 55 zainteresowanych, jeżeli się spytam: w jaki sposób PKP ma zamiar uregulować straty moralne i materialne (był to nasz dzień wolny od pracy, wielu aktorów miało w tym dniu zajęcia w filmie). Pytam i proszę, by mi na to pytanie odpowiedziano.

A stała się jeszcze jedna rzecz, której mi PKP nigdy nie zwróci: moja wiara w dzieciństwa w mit kolei rozbiła się na drobne kawałki, a bilet kolejowy będzie już dla mnie odtąd kawałkiem szarej, zwykłej tektury.

MIECZYŚLAW M. SZARGAN

POLITYKA • WYDARZENIA • KOMENTARZE

„NEW YORK TIMES” — Nowy Jork

Związek Radziecki pomoże Argentynie w dwukrotnym zwiększeniu mocy energetycznej kraju do końca 1977 roku. Rosyjskie urządzenia zostaną zainstalowane w elektrowni wodnej w Salto-Grande, na granicy z Urugwajem, oraz w Alicurie w prowincji Mendosa. Inne rosyjskie urządzenia mechaniczne zostaną użyte przy rozbudowie tamy Chocon oraz do prac budowlanych przy dwóch elektrociepłowniach: w La Plata i w Rosario. Moskiewskie rozmowy ministra Helbarda, jego spotkanie z przywódcami radzieckimi doprowadziły do zawarcia umów handlowych, włącznie ze sprzedażą Związkowi Radzieckiemu argentyńskiego mięsa, ryżu, owoców, soków, obuwia, chemikaliów i wina. Podpisano kontrakt na sprzedaż 100 tys. ton mięsa i 100 tys. ton ryżu.

„PRENSA LATINA” — Hawana

Jak donosi Brazylijskie Stowarzyszenie Dawców Krwi, co roku do USA z Ameryki Łacińskiej przemycane są około 2 milionów litrów ludzkiej krwi. Prezydent Stowarzyszenia, Carlota Otorio, podał, iż w zbyciu krwi i produktów jej przerobu „panuje zupełny chaos”. Plazmę krwi dostarcza się z Brazylii do Stanów Zjednoczonych nielegalnie, bez zezwolenia państwowej komisji do spraw hemoterapii. Większa część brazylijskich dostawców jest zmuszona sprzedawać swoją krew „kupcom” z USA po najwyższych cenach w związku z bezrobociem w kraju.

„REUTER” — LONDYN

Według informacji napływających do Pekinu, burza polityczna w stolicy jedynej z prowincji Chin doprowadziła do pierwszych otwartych napaść na przywódców partyjnych i organizatorów obecnej masowej kampanii krytyki. Naoczni świadkowie relacjonują, iż w stolicy pro- wój cji Szansi, w mieście Tajuan, 400 kilometrów na południowy zachód od Pekinu, pojawiły się „gazetki wielkich hieroglifów”, wzywające do usunięcia ze stanowisk pierwszego sekretarza prowincjonalnego komitetu partii, dowódcy okręgu wojskowego Se Czzeń-hua oraz zastępcy komisarza politycznego okręgu Tsao Czun-hana. W ostatnich miesiącach zwolniono z pracy w radio pekińskim kilku znanych dziennikarzy.

„SUNDAY EXPRESS” — Londyn

Władze Republiki Federalnej Niemiec odmówiły wizy wjazdowej byłemu führungowi angielskich nazistów sir Oswaldowi Mosley'owi, jako „niepożądanemu cudzoziemcowi”. Gdy mimo to Mosley przyjechał pociągami do Paryżu — Monachium na terytorium RFN odesłano go z powrotem do Paryża. W Monachium Mosley zamierzał wyłożyć swoje „idea” odnośnie Europy.

„ASSOCIATED PRESS” — NOWY JORK

Parlament włoski przyjął projekt uchwały przewidującej rządowe finansowanie partii politycznych (za wyjątkiem Wł. PK — red.). Parlament zaaprobował projekt po wybuchu skandalu naftowego. Zamieszana jest w nim pewna kompania przemysłowa, która dawała duże łapówki partiom za poparcie korzystnych dla niej uchwał. Uchwała parlamentarna przewiduje roczne subsydia państwu w wysokości 60 miliardów lirów, które będą rozdzielane pomiędzy siedmioma dużymi partiami politycznymi Włoch na zasadzie ich przedstawicielstwa parlamentarnego. Projekt przeszedł przez obie izby parlamentu w przeciągu kilku tygodni, co jest rzadkim fenomenem szybkości procedury parlamentarnej.

„TIMES” — Londyn

Rankiem 17 czerwca br. całą londyńską policję poderwano na nogi. O 8,22 do agencji „Press Association” zatelefonował jakiś nieznajomy i poinformował spokojnie, że w gmachu Parlamentu brytyjskiego umieszczono bombę. Szczęśliwie w tym czasie nie było w gmachu nikogo, a bomba została zdetonowana przed godziną rozpoczęcia pracy. Niemniej 11 osób zostało rannych, w tym jedna ciężko. Członkowie Parlamentu doszli do zgodnego wniosku, że akcja ta „powinna umożliwić decyzyjnie Wielkiej Brytanii w sprawie rozwiązania problemu Irlandii Północnej”.

Finalowy mecz piłki nożnej na stadionie olimpijskim w Monachium oglądało na ekranach telewizyjnych blisko miliard ludzi. Ósmą część, z dwóch i pół miliona biletów wstępu na wszystkie spotkania mistrzostw, sprzedali organizatorzy za granicą. W tej liczbie — 75.000 biletów w Ameryce, 31,473 bilety w Brazylii, w kraju trzykrotnych mistrzów świata w piłce nożnej i 937 biletów w Haiti, w jednym z najbardziej biednych krajów obu półkul.

Państwowi i polityczni działacze wielu krajów kapitalistycznych przywiązują ogromne znaczenie do spotkań piłkarskich, wykorzystując je do własnych celów: dla podniesienia międzynarodowego prestiżu, rozbudzenia poczucia narodowego, a nieraz też dla odwrócenia uwagi społeczeństwa od aktualnych problemów wewnątrzpolitycznych i społecznych.

W Brazylii, gdzie piłka nożna jest szczególnie popularna, opozycji nie udało się dotąd zmusić rządu, by zaprzestął subsydiować kluby piłki nożnej i skierował te ogromne środki do walki z niedzą. Korespondentowi radia zachodniemieckiego, Rolfowi Kunkke, powiedziano wprost: „Powinien pan zrozumieć, że nie mamy ani życia politycznego, ani kulturalnego. Jako namiastka tego pozostaje nam tylko futbol i nasze futbolowe bożyszcze — Pele...”

Piłkę nożną, po raz pierwszy, użyto do osiągnięcia określonych celów wewnątrzpolitycznych i ideologicznych w 1934 roku, w czasie mistrzostw świata, odbywających się we Włoszech. Wówczas to, Mussolini mianował faszystowskiego generała Vaccaro na stanowisko politycznego lidera Włoskiej Federacji Futbolowej. Vaccaro oświadczył: „Nadrzędnym celem turnieju jest udowodnienie światu, że faszystowski sport, dzięki odpowiedzialności jego przywódców i dojrzałości jego widzów, w całej pełni uosabia faszystowskie ideały”. Trener włoskiej reprezentacji piłki nożnej, Pozzo, maszerował na czele swojej drużyny ze sztandarem faszystowskim w rękach i wraz ze wszystkimi śpiewał faszystowskie pieśni.

Rok później, w 1935 roku, francuskie partie lewicowe zażądały od Francuskiej Federacji Piłki Nożnej wycofania się z zamierzonego meczu z reprezentacją hitlerowskich Niemiec. Jednakże mecz odbył się. Niemcy wygrali w stosunku 3:1. Niemiecka reprezentacja przygotowywała wtedy „fuh-ferzy” oddziałów szturmowych, na treningach panował wojskowy dykt.

Na turnieju olimpijskim w 1936 roku w Berlinie, Niemców uważano za faworytów. Podczas meczu Niemcy — Norwegia miejsca w łóż honorowej zajęli: Hitler, Hess, Goebbels. Reprezentacja Norwegii wygrała w stosunku 2:0, widzowie wygadzali piłkarzy niemieckich, rozjątrzone Hitler opuścił stadion. Reichstrainer, Otto Nerz, został zmuszony do ustąpienia miejsca swemu pomocnikowi, Herbergowi.

Na trzy miesiące przed mistrzostwami świata w 1938 roku, które miały się odbyć we Francji, Hitler anektował Austrię, Chcąc, żeby „jego Reich”

również na boisku piłkarskim symbolizował „Wielkie Niemcy”, polecił trenerowi Herbergerowi włączyć do reprezentacji Niemiec austriackich piłkarzy (stanowili oni w owym czasie jedną z najsilniejszych drużyn w Europie).

„W Paryżu będzie grać 60 milionów Niemców” — buńczucznie oznajmiła gazeta hitlerowska „Voelkischer Beobachter” w przeddzień meczu z reprezentacją Szwajcarii, nie będąc

niemieckich kibiców odśpiewało na berniejskim stadionie hitlerowski hymn „Deutschland, Deutschland über alles”. Sulejman Demirel, premier rządu tureckiego, leciał właśnie za granicę z wizytą rządową. Ale jedna niepomysłna wiadomość, przekazana na pokład samolotu, zmusiła go do powrotu do Ankar. Będąc jeszcze w samolocie, zwołał przez radio członków swego gabinetu na nadzwyczajne posiedzenie. W telegramie radiowym, który zmusił tureckiego premiera we wrześniu 1957 roku do odwołania zamierzonej wizyty, doniesiono mu, że w wyniku meczu piłkarskiego wytworzyła się w Anatolii (azjatycka część Turcji — red.) sytuacja bliska wojnie domowej. Z powodu spornego gola wybuchła krwawa walka między kibicami piłki nożnej dwóch rywalizujących miast: Kayseri i Sivas. Kibice drużyny Sivas przyszli na stadion w Kayseri z workami pełnymi kamieniami. Bitwa fanatyków zakończyła się śmiercią 44 widzów, a 600 ciężko rannych odwieziono do szpitali. Kiedy wieść o tym dotarła do Sivas, zebrał się tam kilkusetosobny tłum mieszkańców miasta, którzy wyładowali swoją wściekłość na mieniu należącym do krajowców

W odpowiedzi na to przez całą Republikę Federalną przetoczyła się ogromna fala protestów, podsycona żądzą odwetu. Właściciele restauracji skradali z jadłospisów „szwedzkie dania”, w mieście Verden odwołano występy szwedzkiego zespołu muzycznego: „Z powodu wydarzeń na igrzyskach piłkarskich w Szwecji nie chcielibyśmy ryzykować, zapowiadając wieczór szwedzkiej muzyki tanecznej” — wyjasniły miejscowe władze.

Przed hotelem „Kwellenhof” w Aachen, gdzie zatrzymała się drużyna szwedzkiej piłkarzy, tłum chuliganów zerwał z masztu flagę szwedzką i pościł opony w kilku szwedzkich samochodach. Nastąpiło gwałtowne ochłodzenie stosunków szwedzko-zachodniemieckich. Dopiero po upływie dłuższego czasu udało się usunąć „nalożone” na szwedzkiej wrogości między obu krajami.

„Zawody sportowe mogą zrobić wrogów z dwóch zaprzyjaźnionych narodów” — powiedział G. B. Shaw. Winston Churchill, stary praktyk w sprawach polityki, był innego zdania: „Lejpij kiedy ludzie walczą na boisku, niż na polu walki”.

Wielu piłkarzy, trenerów i kibiców tak zachowuje się podczas decydujących meczów, jak gdyby brali udział w swego rodzaju bitwie. Gwiazda holenderskiego piłkarstwa, napastnik Johan Cruyff, tak sformułował tę myśl: „Futbol jest swego rodzaju bojem. Każdy musi walczyć, żeby wygrać”.

Większość wybuchających w świecie politycznych i społecznych konfliktów odbija się na futbolu w ogóle, a na poszczególnych meczach i drużynach w szczególności.

Na przestrzeni całych dziesięcioleci rywalizacja dwóch sąsiadujących z sobą krajów — Argentyny i Urugwaju przejawia się w piłce nożnej. Jeden z meczów między reprezentacjami tych krajów stał się nawet powodem zerwania stosunków dyplomatycznych. W czasie meczu reprezentacji Urugwaju i Brazylii w 1959 roku, kibice wywołali poważne zaburzenia polityczne po obu stronach granicy. Dlatego też następnym razem, przed meczem w 1970 roku, władze wojskowe obu krajów podjęły daleko idące środki ostrożności w rejonach przygranicznych. Ponadto w Brazylii około stu znanych policjantów kibiców-fanatyków osadzono w prewencyjnym areszcie.

Nie rozwiązane, czy też drżące sprzeczności i konflikty religijne również przenoszą się na boiska piłki nożnej. Kiedy w Glasgow „Celtic” gra przeciwko „Rangers” oznacza to: „w Glasgow katolicy biją się z protestantami”. Ani jedno spotkanie tych dwóch konkurujących ze sobą drużyn piłkarskich nie odbywa się bez wielkich skandali, rannych i interwencji policji.

Kiedy madrycki „Real” gra przeciwko „Barcelonie” Hiszpanie dzielą się na dwa obozy — Katalończyków i mieszkańców Madrytu. Tak samo jest we Włoszech, ale o tym w następnym artykule.

JERZY CZECH



zresztą faworytem turnieju. Mecz zakończył się remisem 1:1. W następnym meczu Szwajcaryzy wygrali z Niemcami 4:2 i reprezentacja niemiecka odpadła z dalszych rozgrywek. Szwajcarska gazeta „Sport” napisała drwiąco: „Przećwićko sześćdziesięciu milionom Niemców wystarczyło nam jedenastu piłkarzy”. W meczu finałowym Włosi zdobyli tytuł mistrzów świata i przedfiliwali przez stadion w czarnych, faszystowskich koszulkach.

Kiedy na mistrzostwach świata w 1954 roku, w Szwajcarii, Zachodnie Niemcy nieoczekiwanie pokonały Austrię i doszły do finału, wygrując w nim, również nieoczekiwanie, mecz ze znakomitą reprezentacją Węgry 3:2, zaczęła się istna orgia: zachodni Niemcy „uczciłi” zdobywcę tytułu piłkarskiego mistrza świata nacjonalistycznymi demonstracjami. Po końcowym gwizdku sędziego, tysiące zachod-

Kayseri. W hotelu „Beledais” tłum poblił nawet tych gości hotelowych, którzy nigdy nie byli w Kayseri. Dopiero przy pomocy wojska udało się opanować sytuację.

Nie jest to jedyny tego rodzaju wypadek w historii piłki nożnej. Futbol, jak żaden inny rodzaj sportu, sprzyja nader często podobnym wybuchom namiętności w skali lokalnej, a także ogólnonarodowej, chociaż nie zawsze z tak katastrofalnymi następstwami.

24 czerwca 1958 roku reprezentacja piłkarska Szwecji i NRF walczyły w Göteborgu o wejście do finału mistrzostw świata. Najbardziej zapalcywi kibice Szwecji, używając megafonów, „zmobilizowali” wszystkich widzów na stadionie do nieustannego skandowania „Hejja, hejja!” Zachodniemiecka drużyna przegrała wtedy w stosunku 3:1.

x PO TRZECIM SZCZYCIE

x PRZYJACIELSKIE SPOTKANIE EDWARDA GIERKA Z J. BROZ TITO

x KOLEJNA PODWYŻKA NAJNIŻSZYCH UPOSAŻEŃ

Tematem numer jeden, który dominował na łamach prasy w ostatnim tygodniu i na którym koncentrowała się uwaga całego świata była wizyta prezydenta USA Nixona w Moskwie. Spotkania i rozmowy z przywódcami radzieckimi śledzono z niesłychaną uwagą i napięciem. Ludzkość obiecywała sobie niesłychanie wiele. Dziś, kiedy znamy już treść komunikatu końcowego, możemy stwierdzić z całą stanowczością, iż trzecie spotkanie dwóch największych potęg świata, nie zawiodło pokładanych w nich nadziei. Końcowy akord, jakim było porozumienie o ograniczeniu podziemnych wybuchów jądrowych, a także podpisanie protokołu dotyczącego rozmów na temat poważnego ograniczenia systemów obrony przeciwrakietowej (w angielskim skrócie systemów ABM), świadczy dobitnie, iż uczyniono dalszy krok w dziedzinie utrwalania pokoju światowego. Oba te ustalenia mają swoją głęboką wymowę polityczną — świadczą bowiem, iż istnieje możliwość rozładowywania napięcia międzynarodowego i zmniejszają niebezpie-

czeństwo wybuchu konfliktów. Zapowiedź dalszych spotkań i rokowań na tematy polityki światowej obu meżów stanu, realizacja zawartych porozumień o współpracy gospodarczej Związku Radzieckiego i Stanów Zjednoczonych, to także gwarancja w złagodzeniu napięcia międzynarodowego. Świat bowiem uwierzył, iż mimo poważnych różnic ideologicznych i politycznych dzielących oba kraje, istnieje droga rokowań i negocjacji, krocząc którą można zbliżyć się znacznie do celu ostatecznego, jakim jest zapewnienie ludzkości trwałego pokoju. Dlatego też, mimo iż nie wszystkie jeszcze sprawy udało się doprowadzić do definitywnego i ostatecznego zakończenia, że zostało jeszcze wiele ważnych zagadnień do uzgodnienia i uregulowania, efekty moskiewskiego spotkania upoważniają nas do optymistycznego patrzenia w przyszłość.

Radziecko-amerykańskie spotkania na szczycie stały się już polityczną praktyką i trwałym elementem procesu odprężenia międzynarodowego.

Jednym z kolejnych spotkań meżów stanu, które zwróciło naszą uwagę, były rozmowy i sekretarza KC PZPR tow. Edwarda Gierka z Prezydentem SFRJ i Przewodniczącym Związku Komunistów Jugosławii — Josipem Broz Tito. Obaj przywódcy w asyście licznych meżów stanu obu stron poinformowali się wzajemnie o rozwoju polityczno-społecznym i gospodarczym obu krajów i wymienili poglądy na temat aktualnych problemów, wydarzeń w świecie, jak również obecnych stosunków międzynarodowych. W toku debaty, która przecież nie miała charakteru oficjalnego spotkania, zgodnie stwierdzono, iż „stosunki między obu krajami i dwiema partiami, układają się bardzo dobrze i trzeba dolożyć wszelkich starań, aby współpracę tę jeszcze bardziej rozwijać i zacieśniać, tak by w pełni wykorzystać sprzyjającą koniunkturę w stosunkach międzynarodowych. Możliwości współpracy polsko-jugosłowiańskiej są w chwili obecnej bardzo znaczne. Jak zgodnie

podkreślono, rozmowy przebiegały w szczerzej i przyjacielskiej atmosferze.

Piątego lipca, podczas posiedzenia Prezydium Rządu przyjęto uchwałę o kolejnej podwyżce najniższych wynagrodzeń (z 1 tysiąca złotych do 1,200 złotych miesięcznie). Podjęta uchwała jest kolejnym etapem konsekwentnego wykonywania przyjętego przez XII Plenum KC PZPR dodatkowego programu poprawy warunków placowo-społecznych.

Wspomniany program zawiera także postanowienie o przeprowadzeniu do stycznia 1976 roku podwyżki płac dla tych pracowników, którzy w okresie ostatnich trzech lat nie byli objęci żadną podwyżką lub regulacją. Jak przewiduje program w roku bieżącym podwyżki otrzyma około 3,5 miliona pracowników, natomiast w roku 1975 — dalszych 600 tysięcy osób. W sumie — w okresie jednego 5-letniego podwyżkami i korzystnymi regulacjami systemów wynagradzania objętych będzie 11 milionów osób.

Warto również przypomnieć, że od roku 1971 podwyżka płac minimalnych wzrosła z 850 zł do 1200 zł w chwili obecnej. Jest to wynik konsekwentnie prowadzonej przez partię i rząd polityki przyspieszonego wzrostu płac realnych i rozszerzenia świadczeń socjalnych.

JAN T. JANICKI

ZDARZENIA ZWIERZENIA?!

Marzyła mi się kiedyś taka książka: Stara Łódź, spokojna i wesoła, jak ta wieś z wiersza Kochanowskiego. Oczywiście byłaby to Łódź nieprawdziwa, ale myślę, że w powodzi książek mówiących o nędzy, bezrobociu, lokautach, walcach, strajkach — taka książka nie zamazałaby nam prawdziwego oblicza miasta. Wręcz przeciwnie — pokazałaby fragment inny, skrawek przeszłości inny — i ta inność na tle stereotypu „Łodzi złej i przekłetej” byłaby jak błyszczący kamień w szarej mozaice.

Marzyła mi się kiedyś taka książka. Książka o Łodzi spokojnej, gdzieś w początkach lat osiemdziesiątych XIX wieku, kiedy to cichy już echa Powstania Styczniowego, a dopiero rodzili się pomruki burzy rewolucji 1905 roku. Kiedy to w Łodzi myślenie nad założeniem tramwaju, kiedy ta nieliczna garstka inteligencji chodziła na koncerty Pablo Sarasate'go (koncertował w Łodzi, a także, w 1884 roku). Kiedy dyskutowano zaciekle czy pozostawić na ulicach numery hipoteeczne (straszny był z tym bałagan), czy wprowa-

MARZENIE O KSIĄŻCE

dzić nowoczesną numerację kolejną...

Słowem marzyła mi się książka-mozaika zdarzeń drobnych, codziennych, ale których koloryt i nastrój tworzyłby jakąś jeszcze jedną — inną — prawdę o wieku XIX tego miasta.

Oczywiście, jak to bywa z marzeniami, takiej książki nie napiszę. Dlaczego — to już inna sprawa.

Ale ze wzruszeniem czytałem księgę wspomnień Stanisława Broniewskiego, wydaną pieczętowanie przez bardzo mądre i dbałe o kulturę i pamięć starożytności Krakowa — Wydawnictwo Literackie. Dyrektor Kurz jest, zdaje się, człowiekiem młodym, ale reprezentuje kulturę, talent edytorski, no i po prostu ma głowę i zna się na rzeczy. I właśnie ten młody dyrektor wydaje księgę wspomnień autora, który jest o rok starszy od krakowskich wodociągów i tramwaju.

Wzruszyły mnie „Igraszki z czasem” Stanisława Broniewskiego dlatego, że znalazłem w tej księdze obraz moich marzeń o książce starej Łodzi.

Autor, choć pamięcią ogarnia lat bez mała siedemdziesiąt, chętnie posługuje się metodą dokumentalnej „sklejki” — i to nie dlatego, że nie pamięta, ale po prostu taki faktomontaż wspomnień, notek gazetowych, reklam, książek — nadaje „Igraszkom” walory dokumentalne, nie tracąc z uroku gawędziarza, który przed nami rozkłada tysiące owych dokumentalnych kamyczków.

Czegóż tam, nie ma! O budkach z wodą sodową i o rejonizacji Plant, o doktorze Jordanie (tym od ogrodów jordanowskich), i o magazynach miodu, o szwedzkich zapalkach i o koszarach na Wawelu, o pozorach i żartach na temat starożytności Cesarza... Na przykład góralskie służące w wojsku Najjaśniejszego Pana Franciszka Józefa, tak śpiewali:

„Cysarzu, Cysarzu
Najjaśniejszy Panie
Daleś mi obucie, daleś mi
odzianie
A jo ci sram na nie”.

Słowem — jest to uroczą, pełną humoru gawęda o rzeczach minionych, cudownych

lekach na porost włosów, pigułkach na wszelkie dolegliwości, cesarsko-królewskich uprzywilejowanych pomadach do włosów, o żebrakach, kurierach, dziadach i kataryniarach... Ze co? Ze w tym czasie, na przełomie wieku XIX i XX działy się w Krakowie rzeczy ważniejsze?

Ależ oczywiście. Tylko, że o tych ważniejszych napisano już setki książek, a książka Stanisława Broniewskiego jest jedna, niepowtarzalna. I właśnie dlatego potrzebna.

Oto, jak nas, biednych ludzi, rzeczywistość ze snu budzi. Marzyła mi się taka właśnie książka o Łodzi — i spotkałem taką książkę-marzenie. Tyle, że o Krakowie. I choć zawsze łączyło mnie z Krakowem wiele wspomnień i sentymentów, choć jest mi to miasto bliskie — teraz stało się jeszcze bliższe.

Tak to skończyło się marzenie, a rzeczywistość skrzeczy...

WIDOK

ANDRZEJ GRUN

FRYZURY

o tak dobrze się zapowiadał...



LEWYM OKIEM

PARASOLKI, PARASOLKI...

Padal deszcz i kupiłem swój pierwszy w życiu parasol. Wyśzedłem ze sklepu od razu z rozwiniętym nad głową czarnym spadochronem, trochę niezręcznie przekładanym z ręki do ręki. Przy wsiadaniu do zatłoczonego tramwaju zaciął się, ani w lewo ani w prawo, zanim go wreszcie zamknąłem byłem już przemoczony do nitki.

Potem nie chciałem się otworzyć, potem znowu były trudności z zamknięciem — i tak przez cały trudny dzień. A potem wieczorem okazało się w domu, że już mu druty zdążyły pordzewieć i nawet samo płótno miało już rdzawe plamy dookoła. — Bo trzeba było go od razu wysuszyć, a nie zamykać mokrego — radzili starzy praktycy. Ale ja miałem z rozpiętym mokrym parasolem wchodzić do sklepów, do tramwaju, na pocztę? Sznurówka jak wiadomo nigdy się nie dostanie takich, jakie akurat są potrzebne. Jak chcecie brązowe krótkie — to są czarne po półtora metra i na odwrot. Kiedy już w buciakach supeł siedzi na suple i wziętem pogania — wreszcie trafia się uliczny, ślepy sprzedawca z pełnym asortymentem pasmanterii. Kupiłem więc nowe sznurowadło. Po jednym użyciu spadły z nich plastikowe końcówki, końce się rozstrzępiły, rozplotły — ani rusz nie mogę nimi trafić w oczka moich wiatrówek.

Otwarto na Placu Wolności nową kawiarnię „Kurant” — z przyjemnym wnętrzem, podzielonym na przytulne zakątki. W gorący dzień wstąpiłem tam na lody. Wybrałem sobie śmietankowe, bo innych nie było. Lody były nieprawdopodobnie słone, co kelnerka wyjaśniła rzeczowo i przekonująco: przecież lody otrzymujemy z wytwórni w termosach, a korki termosów uszczelnione są solą, więc musiało się coś przedostać.

Musiło się coś przedostać, ale ostatecznie nie musiałem tego jeść. Napój firmowy nie był za to słony ani słodki ani zimny, ledwie że leciutko pachniał cytrynową skórką. Słomki do niego nie podano, bo nie ma, zresztą słuszenie, skoro woda miała temperaturę pokojową i zębom nic z tej strony nie zagroziło. Angielka, kupiona na kolację, okazała się sfermentowana i niemożliwa do zjedzenia. Na szczęście znalazł się jeszcze w kąciku kredensu kawałek przedwczorajszego razowca i nie trzeba było z kolacji rezygnować. Miałem po kolacji pisać list, ale długopis, właśnie tego dnia świeżo napełniony tuszem, po trzech pierwszych słowach przestał pisać i można nim było najwyżej ciąć papier jak szkło szlifierskim diamentem.

To są małe przykrości, małe doświadczenia jednego człowieka z dwóch dni. A przecież nie jestem żadnym wyjątkiem i kategorycznie odrzucam pomówienie mnie o malkontentstwo: to jest najprawdziwszy obraz dwóch rzeczywistych dni. Pomnóżcie te sprawy przez kilkadziesiąt milionów — czy to wciąż będą nie warte wzmianki głupstwa?

Dawno temu pisał Tuwim swój pamiętnik nerwowca: temperowałem ołówek. Temperowałem, az nic nie zostało. W kawiarni ktoś powiesił laskę na oparciu krzesła — laska spadła z hukiem, gość podniósł, powiesił — laska spadła — i tak dalej. „Można było laskę oprzeć w kącik. Ale ten jolop się nie domyślił”. Jolop był winien, to jasne. Kto jest jednak winien temu, że parasol, przeznaczony przecież z natury do moknięcia, rdzewieje po paru godzinach? Ze sznurowadła są po jednym użyciu do niczego? Ze sól z korka musi się przedostać i spaskudzić lody? Ze w rezultacie człowiek chodzi wśród tego morza niechlujstwa i tandety jak intruz o nowoczesnych wymaganiach, zbywany byle czym, odfajkowywany byle jak, zmuszany co krok do rezygnacji, do ustępstw, do machnięcia ręką?

Był już taki paroletni okres w naszych powojennych dziejach, kiedy naczelnym i nieomal wyłącznym tematem satyry były brakoroby. To była łatwa satyra, bezpieczna, wszyscy byli nią jednakowo i z tych samych pozycji zainteresowani. Później uznano ją za zbyt łatwą i ambitni satyrycy sięgnęli po tematy pryncypialne, filozoficzne, obyczajowe. Bardzo pięknie. Nie zatrząskujmy jednak za sobą drzwi do naszych wieży ze stonowej kości. Nie dawajmy brakorobom zbyt długiego oddechu, możemy bowiem bardzo uczenie i głęboko rozprawiać nad podniesieniem jakości życia, ale ono nie będzie lepsze, jeśli nie będą lepsze parasole i długopisy.

ANDRZEJ JÓZWIAK

CWIEK

GDZIE CI MĘŻCZYŹNI?

(OPOLE 1974)

Jeszcze przed podaniem przez jury oficjalnych wyników pierwszą laureatką tegorocznego „Opola” została Danuta Rinn, którą fotoreporterzy akredytowani na festiwalu obrali „Miss obiektyw”. Po dokonaniu — przez redaktora naczelnego PR i TV w Opolu — aktu koronacji, królowa Danuta i wskazując „na zdetrakowane „Miss obiektyw” z lat ubiegłych (Urszula Sipińska, Halina Kunicka i Maryla Rodowicz) rzekła: „skończyły się lata chude”. Następnie wskazując na siebie obwieściła: „rozpoczęły się lata tłuste”.

Bardzo ciekawy pomysł dotyczący komponowania zaproponował William Hase, angielski muzyk, w swej książeczce zatytułowanej „Sztuka komponowania muzyki według zupełnej nowej metody odpowiedniej dla najbardziej przeciętnych talentów”. Hase radzi kompozy-

torowi premedytowany humor wskazówek w nim zawartych odczucie zaczęły się na nim wzorować.

Aranżacje są — generalnie rzecz biorąc — słabą stroną polskiej piosenki estradowej. O całości dzieła decyduje kompozytor i autor tekstu, wykonawca interpretator oraz aranżer, który coraz częściej ma duży wpływ na estetyczną całość utworu. Niestety nasi utalentowani aranżerzy: L. Bogdanowicz, A. Skorupka, Cz. Majewski, E. Spyrka, W. Kruszyński mają coraz więcej pracy aranżacyjnej, a ilość nie przetrwała się w jakości. Zbyt często sugerujemy się nazwiskiem, mimo że młodzi aranżerzy i kompozytorzy udowadniają (np.: Janusz Koman nowoczesną aranżacją „Papierowych ptaków” śpiewanych przez utalentowaną Krystynę Prońko), że wyrosli już ponad lawkę rezerwowych. Iu mamy takich co wyrosli ponad i winni wejść do reprezentacyjnej drużyny, a ciągle trzymają się na odległość. Typowym przykładem był koncert debiu-

tycznego szlagieru nosiły takie piosenki, jak: „Tyle słońca w całym mieście” wykonywana przez Annę Jantar, „Ja to się cieszę byle czym” (B. Perkuna i J. Miliana) w interpretacji Wojciecha Skowronskiego. Dobrą piosenkę „Zrozumieją nas tacy jak my” A. Markowej i A. Panas wykonywała Ewa Śnieżanka. Jury tego nie dostrzegło. „Niewczesna miłość” śmieszna kompozycja W. Kolanowskiego w świątecznym wykonaniu, śmętnego Andrzeja Dąbrowskiego, Waldemara Grzech (infantylna „interpretacja” „Walca przed lustrem”), Roma Bułarowska — to pozycje odzwierciedlające upodobania jury. Ulubiencem publiczności oraz jury był również Roman Gerczak śpiewający przebojowe „Zabrałaś mi lato” i prezentujący w zasadzie te same „nawyczki” co w roku ubiegłym na tej samej estradzie. Gerczak rozrzucił po estradzie kolorowe confetti, w roku ubiegłym łamał gitarę, a co zrobił w roku przyszłym? Złosił wiec z tylnego rzędu podpowiedział mi: „będzie gryzł kabel od mikrofonu”.

Tworzymy mity i idoli — jeśli już nie możemy się bez tego obejść — budujemy kariery, ale z głową, zgodnie z realiami i z zasadą proponowaną przez Tropicala Thaiti Granda Banda: „koty za ploty, wół do karety, azor do budy, śledzie do sety”.

Dziwi się dlaczego w ostatniej chwili zrezygnowano z Huberta Szymczyńskiego, choć prezentuje on bardzo interesujący i nowoczesny wzorzec wokalny? Dziwi się... ale właściwie — szczerze pisząc — przestaliśmy się dziwić już trzy lata temu, kiedy to wielkie objawienie festiwalu opolskiego Zdzisława Sośnicka i jej piosenka — która później okazała się niepospolitym szlagierem ostatnich lat — nie zdobyła żadnej z 19 przyznanych wówczas nagród.

Wydaje mi się, że nasze wszelkie komisje artystyczne, różnorakie składy szacownych jury pracują na takich regulaminowych zasadach: punkt 1 (rozdział: Piosenki) — im brzydszy tym ładniej. Punkt 2 (rozdział: Aranżacje) — im nudniej tym cenniejszy. Punkt 3 (rozdział: Piosenkarki) — imnie się w niewolę oddała, moją jest. Odziasz ją teraz należy, podkarcić, a reszta jakoś się ułoży.

Piosenka przegrała ze sportem. Stan Borys, Partita, Dwa plus Jeden, Halina Kunicka, Czesław Niemen, Mieczysław Fogg, Urszula Sipińska, Irena Santor i in. musieli skapitulować przed Gadochą, Szarmachem, Lato, Tomaszewskim, Gorgoniami i pozostałymi zawodnikami naszej drużyny przebywającej na mistrzostwach świata w RFN. Koncert inauguracyjny XII Krajowego Festiwalu Piosenki Polskiej, jubileuszowy koncert piosenek 30-letnia została przesunięta o godzinę. Domagali się tego piosenkarka, muzyka, ekipa telewizyjna, kilkutygodniowa publiczność itp. Powód? O godz. 19.20 zaczynała się transmisja meczu Polska — Szwecja. Prośba kibiców musiała zostać uwzględniona. Był to triumf Górskiego nad Rzeszowskim.

Reżyser wszystkich głównych imprez Opole-74 Janusz Rzeszewski wyszedł całkowicie oborną ręką z festiwalowych bojów. Z przeciętnego materiału zrobił nieprzeciętne widowisko, które potem nożyce red. Adriańskiego zamieniły w rzecz zgodną z zasadą: „a ja z klucza wiolinowego zrobię klucz francuski”. Zrobił.

Wykonanie to 80 proc. sukcesu. Przypominam sobie — jakby to było dzisiaj — jak kilka lat temu na międzynarodowym festiwalu bachowskim, 70-letni wówczas Wilhelm Kempf grał „Wariacje Goldberga” w wypełnionej po brzegi lipskiej hali kongresowej. Wydawało się z początku to pomysłem idiotycznym: hala kongresowa i J.S. Bach zwłaszcza, że „Wariacje” napisane są na klawesynie i chyba pomyślane, jako środek uspokajający dla cierpiących na bezsenność. Sukces był absolutny. I to sukces nie Bacha, ale wielkiego mistrza fortepianu, W. Kempfa. Festiwalowy mistrz Janusz Rzeszewski miał również swoje 80 proc. sukcesu. Pozostałe 20 proc. zabrał mu w amfiteatrze — deszcz, a w telewizji red. Adriański.

Opole-74 rozszerzyło trochę szczerzy dotąd krąg wykonawców. Jednocześnie udowodniło nam niezbicie, jak bardzo sferminizowała się nam piosenka. Na estradzie przewaga piosenkarek i zaledwie kilku zagubionych i wadliwych strojnisiów. I wtedy zrozumiałem kogo ma na myśli przeuroczy żeński Gargantua polskiej piosenki śpiewając ironicznie: „gdzie są ci mężczyźni, orły, sokoły, herosi? Gdzie są te chlapy...?”



Zespół „Dwa plus Jeden”

Fot. P. Karpiński

torom umocnienie w atramentie ostrej szczytki, a następnie przeciąganie grzbietem po jej szczytnie rozpryskując kompozycję na papier nutowy. Pozostaje potem dodać tylko ogonki, kreski oznaczające taktę itp. i dzieło zostaje stworzone. William Hase opublikował książkę z ową pomyslową metodą w roku 1751. Obserwując naocznie od lat wielu szereg krajowych festiwalu muzycznych krajowym podejrzewać iż nasi twórcy — a zwłaszcza dotyczy to aranżerów — odkryli w jakimś antykwariacie zakurzone podręcznik W. Hasego i nie zważając

tującej młodzieży „To śpiewa młodzież”, gdzie zupełnie nie zauważono Elżbiety Bukowieckiej ze Szczecina, która ekspresyjnie wykonała piosenkę Joanny Kulmowej i I. Izydorka „Kiedy milczę”. Jury nie dostrzegło również możliwości głosowych i ciekawej interpretacji utworu „Biała pani” (łódzka spółka autorska: K. Drobik i A. M. Chmielarz) w wykonaniu utalentowanej łódzkiej studentki Jadwigi Paduch. Świętną piosenkę „Kto dogoni wiatr” (tekst: J. Czura, muz.: K. Sardowski) śpiewała Liliana Urbańska, wszelkie cechy auten-



„MAGIA IGRZYSK”

Na deszczowy urlop razyny tym razem zapakować do walizki książkę Tadeusza Olszńskiego „Magia Igrzysk”. Lekcja to nie mniej trapiąca, niż najlepszy kryminał, a ma nad nim przewagę autentyczności. Autor popularny dziennikarz sportowy, ma już na swoim koncie kilka książek poświęconych sprawom sportu. Zawieszę jednak interesuje go przede wszystkim, równie często ten przykładać do sportu zwyciężając, ludzka miara, nie padać na kolana przed wysiłkiem, nie wynosić pod niebiosa mistrzów.

Olszński był na Olimpiadzie w Rzymie, Tokio, Meksyku i Monachium. Umiejętność do umiarkowania, magia tej piękniejszej imprezy sportowej, na której spotyka się zawodnicy z całego świata, i tak powstała kolejna książka. Olimpiady pokazane są tu poprzez losy i zmaganą ludzi: zwycięzców, bo przecież nim osiągnęli najwyższe trofeum — złoty medal olimpijski, nieraz walczyli gorzej porażki, walczyli z kryzysem, zalamaniami, przeciwnościami losu. Taki jest jednak sport, na tym polega jego piękno i magia. Dlatego też przyciąga nie tylko garść zapalczywych walczących o jak najlepszy wynik, ale także ogromną rzeszę kibiców. Do nich głównie adresowana jest „Magia Igrzysk” Tadeusza Olszńskiego.

Tadeusz Olszński „Magia Igrzysk”, Iskry, W-wa 1974, str. 203, cena zł 18.—

JUŻ HISTORIA

„Trudno było wyeliminować tak doskonały zespół jak Anglia. Polacy dokonali tej sztuki. Jeśli nadal będą robić tak wielkie postępy jak ostatnio, to mogą mieć duże szanse w Monachium...” — powiedział Alf Ramsey po meczu Polska — Anglia na stadionie Wembley. Dziś ten mecz należy już do historii polskiego futbolu, tak, jak do historii powoli przechodzą mistrzostwa świata w Monachium. Książka Wiktora Olsiatyńskiego „Przez Wembley do Monachium”, odpowiada przede wszystkim na pytanie, dlaczego jeden mecz piłkarski tak bardzo zbulwersował, bez przesady można powiedzieć całą Polskę i całą Anglię. Ale i dzisiaj, kiedy jedenastka „szeryfa” Górskiego ma już w kieszeni mistrzowskie srebrne, będzie chyba cieszyć się ogromną popularnością. Wszak można ją już czytać „na dużym oddechu”.

To już historia, ale jakże dla polskich kibiców radośnie. Czytamy o Olsiatyńskim: „Większość polskich piłkarzy — przyp. B.M. — chciałaby trafić w pierwszej rundzie na Brazylię i dwa słabsze zespoły, chociażby Szwecję i Zair”. Dziś już wiemy, że spokojnie mogliśmy myśleć tylko o meczu z Zairem.

Przy okazji interesującej książki Wiktora Olsiatyńskiego warto jeszcze pamiętać, że autor jest tegorocznym laureatem Nagrody im. J. Bruna.

Wiktor Olsiatyński „Przez Wembley do Monachium”, Książka i Wiedza, W-wa 1974, str. 242, cena zł 15.—

SPORT I NAUKA

„A ściślej mówiąc związki między nauką i kulturą fizyczną dawniej i dziś. Tak najrozsądniej można by chyba przedstawić książkę „Filozofia i socjologia kultury fizycznej” pod redakcją Zbigniewa Krawczyka. Nie od rzeczy będzie w tym miejscu przypomnieć, że mniej więcej rok temu ukazała się książka „Sport w społeczeństwie współczesnym”, także pod redakcją Zbigniewa Krawczyka. O ile wzmiankowana publikacja była pracą zbiorową autorów polskich i prezentowała najnowsze badania socjologów, o tyle w „Filozofii i socjologii kultury fizycznej” znajdujemy takich autorów jak Platon, Tomasz z Akwinu, Rene Descartes, Blaise Pascal, K. Marks, F. Engels, W. Lenin, J. P. Sartre, J. Marchlewski, B. Malinowski, B. Suchodolski, J. Huzinga, F. Znaniecki.

„Człowiek i świat człowieka”, „Ciało jako wartość”, „Kultura fizyczna i struktura społeczna”, „Sport i polityka”, „Sportowy jako bohaterowie współczesni” — to tylko niektóre problemy obszernie przedstawione w omawianej książce.

Dobrze byłoby, gdyby mogli się z nią zapoznać entuzjastyci sportu. Będzie tylko w tym, że 3-tysięczny nakład dostrze tylko do nielicznych, Szkoła, bo wielu kibiców „Przebieg Sportowy” już dawno nie wystarcza.

„Filozofia i socjologia kultury fizycznej”, praca zbiorowa pod redakcją Zbigniewa Krawczyka, PWN, W-wa 1974, str. 550, cena zł 38.—

„SPRAWA OSOBISTA”

W serii „Współczesna proza światowa” ukazała się kolejna pozycja powieści japońskiego pisarza Kenzaburo Oe „Sprawa osobista”. Autor, urodzony w 1935 roku, zadebiutował opowiadaniem w roku 1957. W rok później otrzymał mu nagrodę literacką Akutagawy za nowelę „Złoty”. Także „Sprawa osobista”, powieść wydana w Japonii w roku 1964, uzyskała nagrodę Sinciosia.

Owa sprawa osobista słowno bohatera — dwudziestoletniego Piaka, jest nie tyle fakt, że zostaje ojcem dziecka, które urodziło się kaleką, ile jego własna postawa. Musi dokonać wyboru, zdecydować czy chce, żeby dziecko żyło. Do tej pory w momentach trudnych po prostu rezytował. Teraz zadaje sobie sprawę, że po raz pierwszy musi podjąć decyzję. Jakkolwiek by ona nie była, będzie decyzją dotyczącą jego samego, jego dalszego życia. I po raz pierwszy Piak nie ucieka.

Kenzaburo Oe „Sprawa osobista”, przełożyła z angielskiego Z. Ukrynowska, PIW, W-wa 1974, str. 180, cena zł 27.—

„NIELS LYHNE”

Gdy „Niels Lyhne” ukazał się w druku po raz pierwszy (1880), szczypta twórczości Jacobsena stanowiła już nieomal epokę w literaturze duńskiej... Słowo Jacobsena (...) posiada barwę żar w opisie, czułość i poufalskość w podejściu do wydarzeń, niesłychaną wagę pojęciową w rozważaniach — tak pisał o powieści J. P. Jacobsena „Niels Lyhne” Maria Dąbrowska. Trzeba też od razu dodać, że właśnie Dąbrowska jest autorką polskiego przekładu tej powieści, która obecnie została wydana przez oficynę poznańską w serii dzieł pisarzy skandynawskich.

Jens Peter Jacobsen, przedwcześnie zmarły w 1955 roku pisarz duński, należy do grupy najwybitniejszych klasycznych literatury tego kraju. Był przodkiem z wykształcenia, ale światowy rozgłos zapewnił sobie jako pisarz. Mimo że był autorem zaledwie kilku nowel i dwu powieści — „Pan Maria Grubbe” i właśnie wznowionej u nas „Niels Lyhne”.

B.M.

Jens Peter Jacobsen „Niels Lyhne”, Wyd. Poznańskie, Poznań 1974, str. 204, cena zł 28.—

WARTO PRZECZYTAĆ

J. EDIGEX, „Szklanka czystej wody”, Czytelnik, cena 20 zł
 W. MARCISZEWSKI, „Poradnik dla niezdeterminowanych”, Ossolineum, cena 35 zł
 A. WYSOCKI, „Tajemnice dyplomatycznego sejfów”, KIW, cena 90 zł

FILM

SERDECZNOŚĆ

Wydana, w 1972 roku powieść Ryszarda Binkowskiego spotkała się z serdecznym, pełnym uznania dla literackiego talentu młodego prozaka, krytycy i czytelnicy byli zgodni. Słowo serdeczny ma w odniesieniu zarówno do książki jak i filmu swój walor szczególny, rzadko, zwłaszcza w krytyce, eksponowany. „Pójdź nad sędem” w obu, przyznajemy nieco różnych szych wersjach, zjednuje sympatie w szczególności, przyciąga szlachetnym klimatem moralnym, pozwala myśleć katechizmami słów najprostszymi, których zbyt często nie używamy w życiu znajdujemy dla nich odniesień. Powieść Ryszarda Binkowskiego, a za nią film Waldemara Podgórskiego, wydaje się jednak temu ostatniemu twierdzeniu przeczyc, odkrywa treści życia i postaw ludzkich, które niewątpliwie zarówno literatura jak i film współczesny nader rzadko czynią motywem przewodnim swych refleksji. Chcąc rzecz zamknąć w jednym zdaniu należałoby powiedzieć, iż „Pójdź nad sędem” to opowieść o dobrych ludziach, o ludzkich ambicjach i solidarności.

Bohaterem filmu jest młody chłopiec, stojący u progu swej życiowej i męskiej drożyzny. Jego przekroczeniu towarzyszą jednak okoliczności czyniące los

Franka różnym od tego, który jest udziałem wielu innych jego rówieśników. Chłopiec pochodzi z podlódzkiej wsi, na której emigracja leży ojciec, któremu przyrzekł, iż „pójdzie nad sędem”. By te drogi przejść, trzeba trafić tam, gdzie bez trudu dochodzą inni — do szkoły. Szkoła — rzecz najprostszą dla tamtych, dla bohatera tej opowieści staje się sprawdzianem jego woli, charakteru i siły. Pozostały na ojeździe gospodarce starszy brat nie podola możliwości edukacji Franka, pozostaje więc jedynym możliwym wyborem — godzenie nauki i pracy. Młody bohater filmu trafia zatem do lódzkiej fabryki, pracuje tam, gdzie najbardziej ciężko i najprymitywniej — w podziemiach wielkiego włókienniczego kombinatu wozi bele bawełny. Tam też wśród wózków znajduje przyjaźni — poznaje życie i pracę, w której trud i warunki nie wkróczyła jeszcze nowoczesność. Tam na górze, nad transportowymi tunelami znajduje się nowoczesne fabryczne hale, tam pracuje dziewczyna Franka, jego pierwsza radość i smutek na miłość. Bardzo piękna prawda filmu „Pójdź nad sędem” polega właśnie na tym, iż owa trudna szkoła życia, przyjaźni i solidarności młody bohater zdobywa wśród tych ludzi, gdzie pozornie mogło być o to najtrud-

niej. Binkowski i Podgórski nie stworzyli swemu bohaterowi sytuacji łatwych, prowadzili go drogą, w której charakter chłopca musiał krzepnąć często na przekór temu życiu, w którym uczestniczył.

Czytelnicy powieści Binkowskiego dostrzegą w filmie pewne, dość istotne, różnice tak w samych rozwiązaniach fabularnych jak i realizacji artystycznej. Narrator powieści bardziej osobiste, często bardziej ostre niż w filmie widzenie. Dzięki temu proces wewnętrznej dojrzewania i autoświadomości bohatera relacji jest w powieści pełniejszy niż w filmie. Zmiana typu narracji spowodowała w filmie, iż jego bohater jest psychologicznie nieco mniej bogaty, utrzymany w jednej konwencji naiwnego, ufającego światu, pełnego siły woli i chęci sprostania słowu danemu ojcu chłopca. Dużą zasługą grającego rolę Franka Krzysztofa Stroińskiego jest to, iż taka koncepcja bohatera broni się jednak swą młodzieńczą prawda.

Charakterystyczny dla prozy Binkowskiego liryzm, rozbijany często ostrym naturalizmem dialogów i opisów egzystencji w wielkomiastkim środowisku, nie zawsze w filmie Podgórskiego znaj-

duje swój kształt pełny. Przyczyną szukać zapewne należy w owej zmianie sytuacji narratora. Waldemarowi Podgórskiemu udało się jednak rzecz niezwykle rzadką w filmie polskim — autentyzm i wyrazistość postaci i środowisk zarówno wielkiego miasta, jak i wsi, autentyzm, któremu towarzyszy odkrywanie swistej urody życia tam, gdzie trudno nawet jej oczekiwać. Jest to w filmie Podgórskiego ton tak rzadko w kinie polskim uchwytny — osobistej stonki twórcy do postaci i zdarzeń, ton ostrości serdeczności i ciepła, chęci odnawiania piękna i dobra w życiu natury i człowieka. „Pójdź nad sędem” przywołuje tradycje śląskiej opowieści Kazimierza Kutza, tradycja ta służy portretom ludzkim i obrazowi miasta. Łódź w obrazach Wacława Dąbrowskiego i Jana Laskowskiego po raz pierwszy w kinie znalazła taki swój wizerunek, który choć w części oddaje jej prawdę. Mocna strona filmu „Pójdź nad sędem” jest umiejętność tworzenia nastroju, towarzyszy on obrazom wsi i obrazom miasta, scenom pracy i smutnych często, ale prawdziwych zabaw. Autentyzm klimatów zrodził się w tym filmie z prostą chęcią bycia uczuciem wobec ludzi, z prostą wprost niech serdeczności. Temperatura emocjonalna filmu „Pójdź nad sędem” jest jego cechą najistotniejszą.

EWA NURCZYŃSKA

P.S. O społecznej recepcji filmu W. Podgórskiego i R. Binkowskiego, do postaci i zdarzeń, ton ostrości serdeczności i ciepła, chęci odnawiania piękna i dobra w życiu natury i człowieka. „Pójdź nad sędem” jest jego cechą najistotniejszą.

TELEWIZJA

PANI ZAMKOW W POTRZASKU

Szostkowo rzadko piszę o teatrze telewizyjnym, ponieważ, mówiąc szczerze, nie bardzo jest o czym pisać. Wydaje się, że czasy świetności i popularności tej najbardziej masowej sceny teatralnej odchodzą w przeszłość. Obawiam się, że bezpowrotnie. Obserwując widokowe tramfury seriali, by nie wspominać już o sezonowej w końcu karierze pilki nożnej, łatwo dojść do wniosku, że upodobaliśmy się do telewizyjnej o długim stażu, że i u nas dochodzą do głosu i stabilizują się nawyki kulturalne charakterystyczne dla społeczeństw, wśród których telewizja rozwija się znacznie dłużej. Pierwsze lata telewizji amerykańskiej także upływały pod znakiem szlachetnego kultu Mappomony. Czyniły towarzyszyć nie obowiązywała „kopernikowska prawo gorszego pieniądza, który wypiera z obiegu pieniądź lepszy”. Kolejne premiery poniedziałkowego teatru do niedawna przecież były tematem towarzyszących rozmów, nakładano do refleksyjnego odbioru sztuki, kształtowały gust teatralny, żywiły kontakty z klasyczną literaturą poprzez mądre adaptacje i z wielkim repertuarem sceny narodowej i światowej dzięki mistrzowskiemu inscenizacjom. Telewizja potrafiła skupić wokół siebie wybitne indywidualności polskiego teatru, reżyserów, aktorów i scenografów, których trud artystyczny przez lata całe składał się na wielki prestiż telewizyjnego teatru. I oto teraz obserwujemy jak ten bezcenny kapitał zaufania widza, ogromny wy-

silek włożony w formowanie jego kultury teatralnej jest bezmyślnie i bezprzekładnie marnotrawiony. Ten kryzys bezpośrednio łączy się z widoczną zmianą polityki programowej redakcji programów teatralnych, która zaczyna wprowadzać do repertuaru polski dramat współczesny. Tymczasem polska dramaturgia współczesna cierpi na chroniczny urąganie i trudno oczekiwać, aby te składniki słuszne intencje redaktorów zostały potwierdzone przez znaczące efekty artystyczne. Tym bardziej że te inicjatywy mają charakter dość konformistyczny, sięgają po repertuar o ambicjach zaledwie publicystycznych, a skąd nie omijają np. wybitne osiągnięcia dramaturgiczne Tadeusza Różewicza.

W tym stanie rzeczy z niecierpliwością, choć nie bez obaw oczekiwałem na czteroczęściową adaptację „Sławy i chwały” Jarosława Iwaszkiewicza według scenariusza i w reżyserii Lidii Zamkow. Zamiar pani Zamkow budził typowe obawy, które zawsze wynikają z przymiernenia obiektów ogromu dobrane znanego materiału literackiego do czasowych możliwości telewizyjnego przedstawienia. Lidia Zamkow granice te maksymalnie poszerzyła, opowiadając losy bohaterów powieści Iwaszkiewicza w czterech półtoragodzinnych odcinkach. Stworzyła w ten sposób rodzaj teatralnego serialu, który miał już zresztą w naszej TV swoje precedensy (np. „Dziwcy z Nowolipki”). Jednakże mimo tej serialowej konstrukcji nie mogły w niej pomieścić się

wszystkie wątki, postacie, epizody, które niesie w sobie otwarta przez pisarza rzeka czasu. Potrzeby dramaturgiczne zmusiły do wielu skrótów, niekiedy radykalnych (np. bogaty w konsekwencje wątek odeski), które, dobre służąc granicom czasowym, skutecznie niweczyły elementarną spójność fabularną spektaklu. Bowiem podstawowym obowiązkiem adaptatora jest opracowywanie tekstu, mimo bardzo często koniecznych skrótów i kondensacji, całości w fabularnych związkach czytelnej dla widza, który tekstu kanonicznego może nie znać. On ocenia samostnie przedstawienie bez literackich odwołań. W tym konkretnym przypadku zadanie adaptatorki, było szczególnie skomplikowane, bowiem wzięła na warsztat prozę, która ambicje epickie pragnie pogodzić z refleksją o charakterze eseistycznym rozbijającą rytm zdarzeń. Stąd akcja „Sławy i chwały”, mimo szerokiego oddechu, nie absorbuje zbyt wiele czytelnika swym przebiegiem, jest raczej serwitutem splecionym jego ciekawości, a zarazem pułapką, która służy wciągnięciu go w meandry rozważań nad sztuką, miłością i śmiercią, słowem — nad uniwersalnymi, ludzkimi losami. I właśnie dlatego jest rozstrzygnięciem „Sławy i chwały” potrzaskiem dla adaptatorów. Dylemat: zachować kształt fabularny czy uwypuklić rozpisanie na głosy myśli pisarza? nie jest możliwy do pomysłowego artystycznie rozwiązania. Każda z tych możliwości musi być fałszywa w ra-

mach konwencji teatralnej. Anegdota bowiem staje się melodramatyczna i farsowa bez światopoglądowych motywacji bohaterów, a same motywacje na scenie bez zdarzeń stają się niestrainne. W tej sytuacji pani Zamkow zdecydowała się przekazać ideologię powieści kosztem szkieletowego zaledwie zarysowania jej wymiaru epickiego. Dzięki tej decyzji widz otrzymał nudną wypełnił cztery kolony, poniedziałkowe wieczory. Była to opowieść, z którą telewizji nie udało skontaktować się wewnętrznie, gdyż nie potrafił identyfikować wszystkich bohaterów i relacji między nimi oraz zrekonstruować w całości ich losów. Dodatkowo nie sprzyjał temu odcinkowy charakter tej opowieści przedzielonej seriami pilkarskim o nieporównanie gorzejjszej temperaturze. Tytuł adaptacji.

Dalsze błędy były jej prostą konsekwencją. Z adaptacyjnych wyborów płynęła porażająca martwość przedstawienia, które składało się ze sztucznie upozowanych scen, gdzie sztywne manekiny kolejno recytowały swoje kwestie. I tej żalnej martwości nie był w stanie ożywić znakomity aktorzy, którym przydało uwierzytelnić to nieporozumienie i że źle udawanym przekonaniem wygłaszać pełne pretensjonalne zadęcia banały. A dzieło się to wszystko wśród obskurnej i tandetnej scenografii zapożyczanej — o dziwo! — przez Xymena Zaniewską i Mariusza Chwedeuka.

Potrząsk „Sławy i chwały” zadziałal siłą zniewalającą hipnozy, która odznacza się zarówno wielkie acydzieło jak i wielki kiec.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

KSIAŻKA

NASI SKROMNI BUDDENBROOKOWIE

Pierwsza wojna światowa nie była tym, czym była druga, ale i ona jak każda wojna przyniosła ze sobą głód, śmierć, zarazę. Pierwsza wojna stała się końcem epoki mieszczaństwa z tradycjami Wielkiego mieszczaństwa, znajdującego się na szczytach, patronującego jej z wewnętrzną potrzebą, ale i nie tylko z obowiązków snobizmu.

Po pierwszej wojnie nadal istniało mieszczaństwo wielkiego kapitału, ale stara tradycja w nim upadła. Patriarchalny typ bogatej rodziny mieszczańskiej nie może się już ostać trzęsaczemu w szwach burżuazjnego świata. Degradacja się wypróbowane w tej warstwie normy moralne. Razem ze wstrząsającymi pogłosami Wielkiej Rewolucji Październikowej zbliża się nowy świat, do którego już nie majsze burżuazyjni patrycjusze. Prawa burżuazyjni patrycjusze, powojennej rzeczywistości wypierają jakkolwiek sentymenty, czy nawet ich porzucił, z życia wielkoprzemysłowej burżuazyj. Przeszli społeczeństw aktywnych nie leżą już landami, jak Arno Kleyna z powieści Władysława Rymkiewicza „Wtajemniczenie”, wsiadają w automobile. Spalają zaś automobili zaczyna zatruchać powietrze naszej planety. Rozpoczyna się nowy świat XX wieku, chociaż mało kto jeszcze zdaje sobie z tego sprawę.

Arno Kleyna — wle. Rozumie i koniec swojej epoki i początek

nowej. Arno Kleyna jest mądrym Żydem i umie przystosować się do każdej okoliczności własnego życia. Wygra w ten sposób jeszcze 20 lat, ale tego w książce Rymkiewicza już nie ma. Powieść zaczyna się w momencie zabójstwa arcyksięcia Ferdynanda w Sarajewie i kończy wraz z zakończeniem I wojny światowej. Błaka się po kartach tej książki Mannowski duec, a może niktos całej wielkiej mieszczańskiej literatury światowej. Jeszcze prościej byłoby otwierać te książki marksistowskim kluczem, stwierdzać, że przemysłowcy łódzcy nie różnili się tak wielce stylem i sposobem życia, obywatelami, cełami swego działania od przemysłowców Zachodu, Wschodu, Północy i Południa. Być może byli tylko bardziej „ubodzy duchem”. Na miarę swych saktiewek, swych ambicji i wysokości lotów.

Bohaterowie Rymkiewicza egzystują w „palacu”, chociaż trwa wojna, która wgląda z Łódź w dosłownym znaczeniu. Fabryki zamknięta swoje bramy. Ludzie bez pracy są ludźmi bez chleba. W „palacu” nie się nie zmienia. Młody snadkobierca fortuny Kleynów, Sebastian, muzykule, czytule klasików filozofii, dobra poezje, butule się przeciwko swemu onasłemu ojcu, brzydki się, jak należy, metodami nostonowania Arno Kleynów. „Demokratyzuje” się przerażająco, wdając się w rozmowy ze służbą pa-

lacową. Nawet na tematy polityczne. Tęskni za swoją zmarłą matką, z którą wozował po piękniejszych miastach na świecie. Przeżywa dramat niemożności wypowiedzenia się w grze, w sztuce, w muzyce po odejściu inspiratorki młodzieńczych wzlotów i nadziei. Poznaje wreszcie miłość fizyczną, która chociaż niezafaszowana, wyzwoleniem się nie staje, albowiem nie jest miłością pełną, złączoną z pierwiastkiem duchowym. Zorientowany się wreszcie, że ojciec używa swego pozującego na dekadencję syna do niezbyt czystego interesu, przekazywania fałszywych informacji oczekujących na zmiany społeczne robotnikom. Sebastian wiele z domu. Dokąd? Do Legionów.

Wojsko staje się sposobem na ucieczkę przed ojcem, przed własną niemożnością, przed kochanką wreszcie. Próba samostanowienia człowieka na jakikolwiek nowej zasadzie w chwili przełomu. Robotnicy ruszają na Łódź. Ruch rewolucji rosyjskiej staje się prozielem. Młody, zbuntowany „bourgeois” automatycznie, jak by to miał zapisane w dziedzictwie, onowłada się za tymi siłami w Polsce, które zagwarantują jeszcze przez 20 lat panowanie jego klasie. Stary i jakże prawdziwy schemat bun-

tów, salonowego komunizowania, postępowości do czasu, gdy samemu trzeba zacząć żyć na serio. To dobra książka. Dobrze napisana. I chociaż można doszukiwać się w niej zbyt wielu paralel literackich, aby była całkowicie autonomicznym tworem, onistuje i analizuje polskie mieszczaństwo wielkoprzemysłowe, łódzkich potentatów, rodzimy kapitał. Nie mamy wiele takich książek. Wynikło to ze struktury ekonomicznej dawnej Polski, z jej słabości przemysłowej, z braku ambicji równania i dorównania światu i daczemu stale naprzód, co dotyczy także również, a może przede wszystkim przemysłu.

Wynika to także z tradycji naszego piśmiennictwa, szlacheckiego, inteligentckiego, skłóconego z kupcami, nawet z potentatami przemysłowymi. Niedobra to była tradycja. „Wtajemniczenie” w jakimś ułamku starej rzeczywistości też łuke zapelnia, chociaż potrzeba by było mnogości książek, aby historie wielkoprzemysłowego mieszczaństwa polskiego zapisać i ocalić dla historii naszego społeczeństwa w ogóle i historii literatury w szczególności.

BARBARA NAWROCKA-DOŃSKA

Władysław Rymkiewicz: Wtajemniczenie, Łódź 1974, str. 258, cena 20 zł.

MAGAZYN

NIE MA ŻARTÓW Z KRONIKĄ

We wsi Krzyżki Lech Ulegalka wszedł na wysoką gruszę rosnącą obok jego obejsia. Po wejściu dożył oświadczenie, że z gruszy nie zejdziesz tak długo, aż przyjdzie Kronika Filmowa, by zrobić mu zdjęcie. Nie było wyjścia. Ściągnięto Kronikę, ale gdy ona przyjechała Lech Ulegalka zawstydził się i zeskoczył z gruszy. Uratowali sytuację jak zwykle harcerze. Przeprowadzili oni bowiem kocz na dwóch głowach. Kronika nakreśliła ją zamiast L. Ulegalki na gruszy i honor wsi został uratowany.

PIERS W PIERS Z NIKOTYNĄ

Znani z cierpliwości filmowcy brytyjscy ukończyli wreszcie pracę nad filmem o bardzo szkodliwym działaniu papierosów na organizm ludzki. Na wstępie sfilmowali oni piersi młodej dziewczyny, zupełnie nie palącej. Następnie dla dobra pokoleń nauczono dziewczynę palić i spokojnie odczekano pół wieku. Po upływie tego czasu ponownie nakrecono te same piersi. Podobno różnica jest znaczna, że nawet najbardziej pogrążeni w nalogu palaczy przez moment smutnieją.

FANABERIE GREY

Wielka gwiazda ekranu, boska Greta Garbo, jest ciągle nieznośna. Ostatnio po kąpielii obejrzała się dokładnie przed lustrem i oświadczyła, że mogłaby jeszcze kilka razy zagrać w filmie, ale nie chce i już.

MYŚL BADACZA

„Jakież to wszystko dziwne! Jakież przypadkowe! — wypowiedział się niedawno badacz cywilizacji współczesnej Bill Ptuchin — Gdyby ludzkość była wyższa o głowę, kinematograf nigdy nie zostałby wynaleziony. Bowiem widzowie siedzący w pierwszych rzędach, zasłaniałoby się sobą ekran głowami...”

ZŁOTA MYŚL GWIAZDY

Nieżyjąca już, słynna gwiazda filmu niemieckiego pani Albiną Condore mawiała często, że nie tak nie odmladza, jak młodzieńcy trądzik. Jest coś w słowach wielkiej gwiazdy, co zmusza do myślenia.

LATO BĘDZIE WESOLI!

Spółdzielnia „Gromada” szykuje w tym sezonie letnim

atrakcyjne „Filmowe Wczasy Pod Gruszą”. Podczas każdego turnusu dyżurujący pod gruszą reżyser włoski Fellini odpowiadać będzie na pytania wczasowiczów. Podobno znany twórca szykuje już sobie różne dowcipne odpowiedzi. Jednak naj-



większą niespodziankę szykują organizatorzy na zakończenie imprezy. W czasie tradycyjnego ogniska piękne wczasowiczki przebiorą się w prześcieradła, nastraszają biednego Felliniego i dla żartu wrzucą go do sadzawki.

BRAWO JOHNNY!

Na ciekawy pomysł wpadł członek Kola Wąskotaśmowców z Nowego Jorku, niejaki Johnny Kubalewski, młody ale obiec-

jący reżyser. Zamierza on pozyczyć 100 dolarów od prezydenta Nixona. W dodatku pomysłowy ten reżyser publicznie się przechwala, że pozyczonej sumy nie odda. Młodemu twórcy życzymy dalszych pomysłów, które by choć trochę osłabiły kapitalizm.

SŁOWIAŃSKA SZEROKOŚĆ

W miejscowości Wojewodzie na prawo od Śląska, zamieszkuje pan Jan Lisek z zawodu dosypywacz. Pan Jan jest niski ale za to bardzo szeroki. Koledzy i znajomi nazywają go żartobliwie „televizorkiem”. Pan Jan Lisek gimnastykuje się przynajmniej raz w tygodniu nie tracąc nadziei, że zagra kiedyś w filmie rolę Tarzana króla małp. Pan Jan słusznie rozumuje, że słowiański Tarzan powinien być inny niż amerykański, a więc właśnie niski i bardzo szeroki.

CIĘKAWA PROPOZYCJA

Niestety, ciągle mało u nas filmów, które pomogłyby nam wszystkim w racjonalnym pojmowaniu otaczającego nas bytu. Które unowocześniłyby zarazem nasz często jeszcze rymitywny stosunek do rzeczywistości, korzystając oczywiście z całego arsenału najnowszych zdobyczy naukowych. Jak dobrze by było, choć to trudne i pracochłonne, sfilmować jakikolwiek cud po to, by ukazać go szerokiej widowni i udowodnić wreszcie, że cudów nie ma!



Fot. Archiwum

POWIĘKSZENIA

TEŻ ZAGRALI

W „Literaturze” z dnia 27 czerwca panowie: S. Dygat, G. Holoubek i T. Konwicki oświadczyli, że w programie „Sam na sam” zamusili być w sposób niesygnalizowany brutalnie faulowany, a sedzia (Janusz Rolicki — przyr. Powiększenia), wydawał się nie znać zasad gry.”

W „Życiu Warszawy” z 30 czerwca Janusz Rolicki napisał: „W swej bezradności korespondenci pism tygodniowych nie są osamotnieni, wydarzenia dziejące się na bosku spróbowali odświeżyć w redakcyjnej dyskusji trzej redaktorzy: „Literatury”, „Dziś”, Holoubek i Konwicki. Wyznam, że czegoś podobnego nie zdarzyło mi się czytać od dawna.”

No i w ten sposób panowie wyszli na remis. Medalii nie będzie.

ŁĄCZKA

Z „Gazety Ziemi Piotrkowskiej”, a ściślej z kolumny „Tu Bełchatów”, wybraliśmy Halko, piękną sformułowaną: „Trafia, będącym udziałem i Kaczmarska w Wysiegu Pokoju...”

„W dniu 2 czerwca bawił na zabawie...”

„Tam najpierw wprowadził się w stan upojenia...”

„24 czerwca br. w Dobrodzienu, do okazyjnego samochodu jadącego w kierunku Czestochowy...”

„Podziękowałem mu (...) za jego chęć do podzielenia się z nieznajomym sobie osobicie człowiekiem — osobistym refleksyjami...”

Osobście uważamy, że cytować już starczy.

IZAAK BABEL

PRZEGRAŁEŚ KAPITANIE

Do odeskiego portu wypłynął parowiec „Halifax”. Przybył z Londynu po rosyjską pszenicę.

Dwudziestego siódmego stycznia, w dniu pogrzebu Lenina, kolorowa załoga statku — trzech Chińczyków, dwaj Murzyni i jeden Malajczyk — wezwali kapitana na pokład. W mieście grała orkiestra i była zamieć.

— Kapitanie O'Neirn — powiedzieli Murzyni — dzisiaj nie nie ładujemy, więc niech pan puści nas do miasta.

— Zostaniecie na statku — odrzekł O'Neirn — szłom na już dziesięć stopni i jeszcze się nasila; kolo saniejkę zamarzył wśród lodów „Bickensfield”, a barometr pokazuje to, czego by mu lepiej nie pokazywać. W taką pogodę załoga powinna znajdować się na statku. Zostaniecie na swoich miejscach.

I powiedziawszy to kapitan O'Neirn poszedł do swego zastępcy. I żartował sobie, palił cygara i pokazywał palcami na miasto, gdzie w wielkim smutku wiała zamieć i grały orkiestry.

Dwaj Murzyni i trzech Chińczyków bez celu włożyli się po pokładzie. Chuchali w zniechęceniu rece, przytupywali gumowymi butami i zagłądali przez przymknięte drzwi do kapitańskiej kajuty. Stamtąd w stronę dziewięciopiętrowego sztoru wyzierał aksamiit kanap ogrzany koniakiem i delikatnym dymem.

— Czy państwu jest gorąco?

— Niecie! —
— No to na rozgrzewkę „Jimmy Joe”!

Radosny okrzyk kilkutyśięcnej widowni!

Koncząc ostatnią piosenkę ujrzałem ze zdumieniem, że bawiąca się, tańcząca i śpiewająca wraz ze mną młodzież wdrapuje się na scenę, otacza mnie. Kiedy skończyłam, poczułam, jak wiele ręk chwyciły mnie i unoszą się do góry. Młodzież chwyciła mnie na ręce i nie pomogły moje prośby ni groźby — najpierw wyhuścili mnie, a potem zaczęli nieść. Za nami tworzył się olbrzymi orszak, masa młodzieży utworzyła barwny, rozbawiony i roztańczone pochód. Nieśli mnie główna ulica Szczecina, hamując ruch pieszych i pojazdów, wzbudząc zdumienie przechodniów. Ja sama prawie nie wiedziałam, co się dzieje, ale co mogłam poradzić? Wygrać się nie byłam w stanie, krzywdą mi się nie działo, tak więc moje początkowe przerażenie szybko zmieniło się w rozbawienie i już zupełnie swobodna, bawiłam się razem z nimi. Śpiewały moje piosenki i przepłatali je raz po raz gromkimi okrzykami: „Niech żyje Karin”, hura, hura!”

Nie pomogły moje perswazyje, że już dość, że to daleko, że jestem przeciętnej ciężka — nie pomogły nie — zanieśli mnie aż do recepcji hotelu „Gryf”, w którym mieszkałam.

Sensacja była ogromna, a kiedy mnie wreszcie uwolnili, kiedy stanęłam na nogach, obdarowali mnie taką masą kwiatów, że nie mogłam trafić do swojego pokoju — utonęłam w nich. Byłam szczęśliwa, tak, zmęczona, ale naprawdę szczęśliwa.

W pokoju okazało się, że z mojego paska do spodni, zrobi-

tego z łańcucha, nie zostało nic. Teraz wiedziałam, skąd pochodziły metalowe, błyszczące kółeczka, które widziałam w rękach niektórych otaczających mnie dziewcząt i chłopców. A może ktoś do dziś zachował małe kółeczka? Może ktoś posiada jeszcze mój autograf w dowodzie osobistym? Dopiero potem dowiedziałam się, że tego nie wolno robić. Autografy podpisywałam wszędzie, zgodnie z życzeniami chętnych. Podpisywałam na rękach, nogach, plecach, na maskach samochodów, na kaskach, w albumach, na zdjęciach, w pamiętnikach, nawet w książeczkach wojskowych — czego też robić nie wolno.

Podpisałam wtedy również całą masę pocztówek dźwiękowych z moim zdjęciem, na których były dwie piosenki: „Jimmy Joe” i „Tutti frutti”. Dowiedziałam się, że w ciągu tych trzech dni festiwalu, sprzedano ich kilka tysięcy. Niestety, aż trudno w to uwierzyć, ale nie została mi z nich ani jedna na pamiątkę. Nie pomyślałam jakoś wtedy o tym, żeby choć jedną zachować dla siebie. Ale najważniejsze, że wszystkie uroczyste chwile z tamtych dni pozostały na zawsze w mojej pamięci, a tego nie zdola zniszczyć czas.

Już na Festiwalu Młodych Talentów w Szczecinie, konferansjer podał do ogólnej wiadomości, że w II Międzynarodowym Festiwalu Piosenki w Sopocie weźmą udział wschodzące gwiazdy „mocnego uderzenia” — Karin Stanek i Helena Majdaniec. Szczerze mogę powiedzieć, że nie zdawałam sobie zupełnie sprawy z rangi tego Festiwalu. Pod silnym wrażeniem byłam dopiero wtedy, kiedy zobaczyłam swoje nazwisko na afiszach, wśród tylu zagranicznych i gdy usłyszałam wokół siebie rozmowy w wielu obcych, niezrozumiałych dla mnie językach. Wtedy zrozumiałam, że to bardzo ważna impreza i że muszę tu wypaść bardzo dobrze.

Kiedy nadeszła moja kolej wyjścia na scenę pani Irena Dzie-

— Bosmanie! — krzyknął O'Neirn ujrząwszy marynarzy. — Pokład to nie deptak, proszę załogę zapędzić do kajuty.

— Yes, sir — odparł bosman, bryła czerwonego mięsa porośnięta czerwonym włosiem. — Yes, sir — i chwycił za kołnierzą nastrożonego Malajczyka. Postawił przy burcie w stronę morza i popchnął w kierunku sznurowanej drabinki. Malajczyk stoczył się na dół i pobiegł po lodzie. Trzej Chińczycy i dwaj Murzyni pobiegli za nim.

— Zapędził pan ludzi pod pokład? — zapytał kapitan z kajuty ogrzanej koniakiem i delikatnym dymem.

— Zapędziłem, sir — odparł bosman, bryła czerwonego mięsa, i stanął przy trapie jak strażnik w czas burzy.

Wiatr dał z morza — dziewięć stopni, jak dziewięć poisków wystrzelonych z przemarzniętych dział w stronę lądu. Biały śnieg szalał nad brykami lodowymi. I po skamieniałych falach z uczuciem niezwykłym podziło do brzegu, do przystani, pięć skulonych przecieków z poczerwiałymi twarzami i w rozpiętych kurtkach; kalecząc ręce wdrapywali się na brzeg po oblodzonych palcach, przebiegli przez port i wpadli do miast — aż drżącemu od wiatru.

Grupa dokerów szła z czarnymi chorągiewkami w kierunku placu, do miejsca gdzie miał stanąć pomnik Lenina. Dwaj Murzyni i Chińczycy poszli razem z dokerami. Sapali, ścisłali czołwy ręce i cieszyli się tak, jak się mogą cieszyć więźniowie, którym udało się uciec z katorgi.

W tym momencie w Moskwie na Placu Czerwonym do grobowca spuszczano trumnę ze zwłokami Lenina. U nas w Odessie wyleły syreny, była zamieć i tłum szedł w pobliżdzie w różnorodnych szeregach. I tylko na statku „Halifax” z tajemniczą twarzą stał bosman przy trapie, jak na wachcie w czasie burzy. A przy jego wieloznacznej strażi kapitan O'Neirn pił koniak w swej zadymionej kajucie.

Zaufał bosmanowi, O'Neirn, i coś przegapił, kapitanie.

Tłumaczył ROMAN GORZELSKI

WSPOMNIENIA KARIN STANEK (6)

FESTIWALOWE ŻYCIE

Śpiewali kolejno finaliści Turnieju Młodych Talentów, między innymi Wojciech Kędziora z Poznania (Wojtek Korda), Jerzy Krzemiński z Łodzi, Stanisław Piechacek i Grażyna Rudecka ze Szczecina, Wiesława Śnieg z Łodzi no i wszystkim już znana Helena Majdaniec. Pogoda, jak na złote było coraz gorzej, zaczął padać deszcz. Ale, o dziwo, nikt nie opuszczał widowni.

Oto zmarznięty konferansjer wybiega na scenę i rzuca pytanie:



patrz, malowana Jala”. I tak została „malowana Jala”.

Była cudowna pogoda, a ja nie mogłam iść na plażę, bałam się, bo w mig tworzył się wokół mnie maly tłumek, każdy chciał autograf, każdy chciał zrobić sobie ze mną zdjęcie, albo po prostu zobaczyć mnie z bliska.

Byłam głodna — nie mogłam iść na obiad, bo znów sensacja w restauracji. Z jednej strony było to dla mnie bardzo miłe, ale z drugiej strony jednak ogromnie męczące. Ale przecież i tak

— to nie pomagało, brawa było jury i organizatorzy, wszyscy. Wreszcie pani Dziedziec oświadczyła, że „dziecko musi iść spać”, więc — „dziecko już poszło spać” — też bez skutku. Organizator błagał p. Irene, aby coś zrobiła, bo nie można prowadzić dalej transmisji radiowej, a pani Irene — „Jestem bezradna, to może pan?” Wreszcie ja sama wzięłam mikrofon i powiedziałam, że jestem już bardzo wyczerpana i śpięca i naprawdę muszę iść spać. Dopiero to pomogło.